

Adam Krajewski



LWOWSKIE
PRZEDMIESCIA

Biblioteka Politechniki Krakowskiej



100000284907

WYDZIAŁY POLITECHNICZNE KRAKÓW

BIBLIOTEKA GŁÓWNA

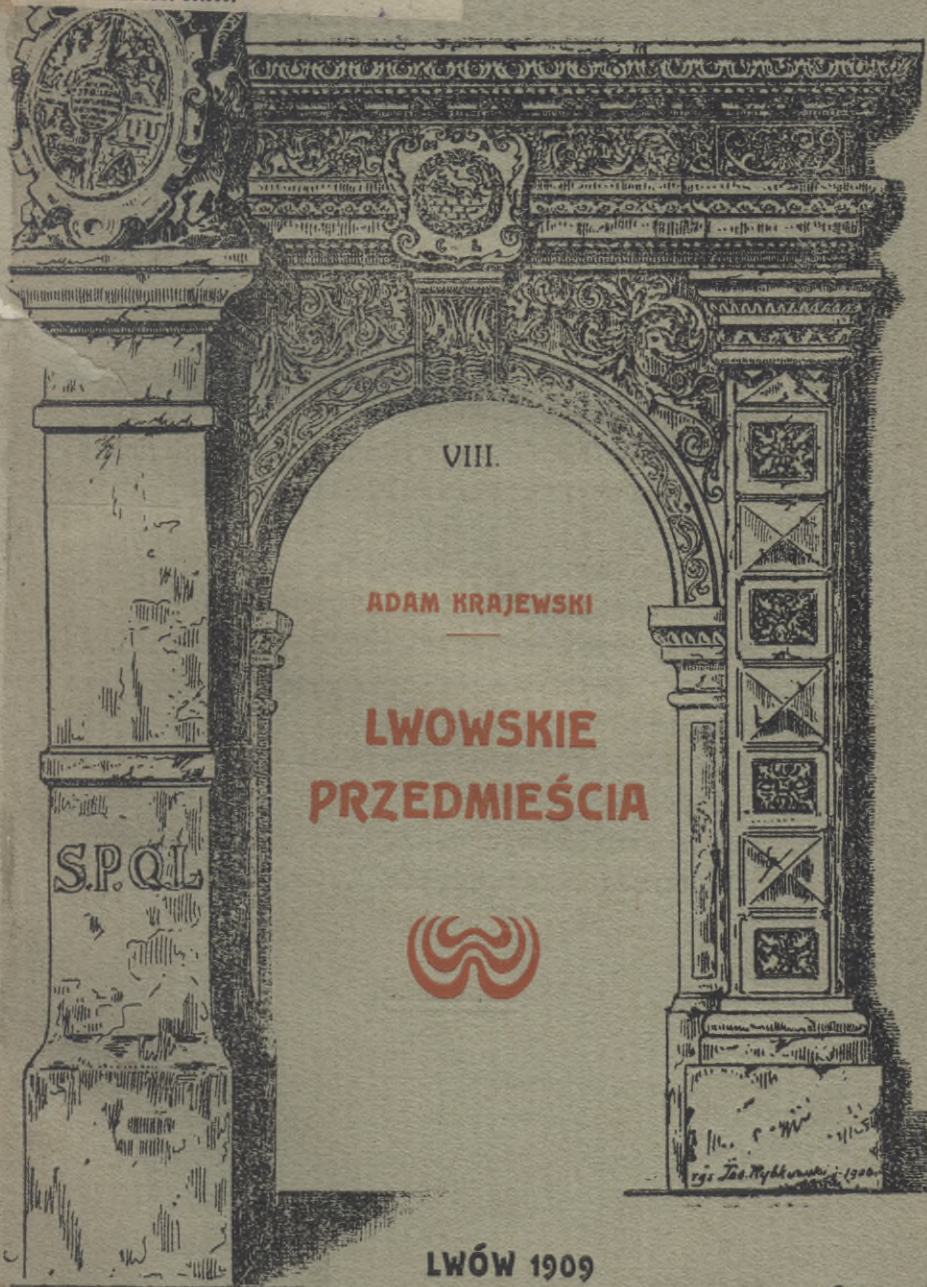
II

7507

L. inw.

nrk. U. J. Zam. 356. 10.000.

BIBLIOTEKA
PAŃSTWOWA



LWÓW 1909

Cena 2 K

Towarzystwo miłośników przeszłości Lwowa

mające na celu poznawanie dziejowej przeszłości Lwowa, budzenie poszanowania dla jego pamiątek i zabytków, oraz ratowanie od zatury i gromadzenie ich w zbiorach miejskich — będzie do tego celu zmierzało, między innymi, przez wydawnictwo naukowych i popularnych publikacji z dziejów naszego grodu.

W myśl § 6. statutu każdy członek Towarzystwa otrzymuje **bezpłatnie** powyższe wydawnictwa.

Wkładka roczna 8 K. Każdy wpisujący się do Towarzystwa płaci więc niejako tylko prenumeratę wydawnictw. Im więcej członków przystąpi, tem bogatsze mogą być wydawnictwa.

Kto na cele Towarzystwa złoży jednorazowo datkę przynajmniej 100 koron, jest **członkiem założycielem**.

Upraszamy przeto wszystkich, miłujących przeszłość stolicy kraju i jej zabytki — o przystępowanie do Towarzystwa miłośników przeszłości Lwowa.

Oprócz „Biblioteki lwowskiej“ w formie niniejszego tomiku wydawać będziemy ilustrowany „Rocznik“, w którym znajdują pomieszczenie prace historyczne, dotyczące przeszłości Lwowa.

(Adres: Archiwum miejskie, Lwów, Ratusz).

BIBLIOTEKA
LWOWSKA

MIECZNIKÓW PRZEZ OŚWIĘTLENIE
O WYDAWNICTWO ZDARZYŁA SIĘ

LWOWSKIE PRZEDMIĘCIA

LWOWSKIE PRZEDMIĘCIA

GOSPODARSTWA I SZKOLA W LWOWIE
SZKOLA SZYBKO W KRAJACH

10360-

BIBLIOTEKA LWOWSKA



✿ WYDAWNICTWO TOWARZYSTWA ✿
MIĘOŚNIKÓW PRZESZŁOŚCI LWOWA

VIII.

LWOWSKIE PRZEDMIĘSCIA

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI ✿ ✿ ✿ ✿
GUBRYNOWICZA I SYNA WE LWOWIE ✿ ✿

Adam Krajewski

ADAM KRAJEWSKI



LWOWSKIE PRZEDMIEŚCIA

OBRAZKI I SZKICE Z PRZED PÓŁ WIEKU

Z 16 RYCINAMI W TEKŚCIE



WE LWOWIE 1909 ❀❀ NAKŁADEM TOWARZYSTWA
MIĘOŚNIKÓW PRZESZŁOŚCI LWOWA ❀❀❀❀❀

A/41
ZWIĄZEK STUDENTÓW ARCHITEKTURY
PRZY AKADEMII GÓRNICZEJ
W KRAKOWIE



~~II 4507~~

II-347844



Z DRUKARNI LUDOWEJ
WE LWOWIE

BIBL-B-450/2016

Akc. Nr. 4369/51

Garść niniejszych szkiców z przedmieść lwowskich, jakimi one były przed niemal pół wiekiem, wziętych bądźto z własnych obserwacji z lat dziecięcych, bądź zasłyszanych w opowiadaniach ludzi starszych na przedmieściach, pomieszczona była różnymi czasy w ciągu lat w „Dzienniku Polskim“, „Świecie“ warszawskim, i w innych pismach. Do zebrania ich w jedną całość i wydania zbiorowego zachęcił autora tych szkiców, niżej podpisanego, zacny kolega po piórze, zasłużony archiwaryusz miasta Lwowa p. Franciszek Jaworski, a tej zachęcie ze swej strony dodał bodźca i Szanowny gromadziec pamiętek dawnego Lwowa, dyrektor miejskiego archiwum, dr. Aleksander Cz o ł o w s k i.

Praca to o tyle wdzięczna, że poświęcona rodzinnemu miastu i jego poczciwym przedmieszczanom, dzielącym dołą i niedołą swej macierzy, przedmieszczanom, których życia przeciętny obywatel Lwowa bliżej nie zna, a już stanowczo ledwie że o nich słyszał i zajmował się nimi przed pół wiekiem, kiedy komunikacja z przedmieściami była i trudna i niewygodna i — powiedzmy szczerze — nie zawsze bezpieczna. Wzrost tej komunikacji, a tem samem parcie miasta ku rozwojowi w kierunku przedmieść, powoduje ich zanik; garść ta więc szkiców będzie skromną pamiątką po tych, niedługo już zaginionych nie tylko domach, ale i ludziach, zasymilowanych przez życie wielkomiejskie.

Dzięki niezwykłej uczynności, a także i ogromnemu zamiłowaniu do rzeczy ojczystych urzędnika miejskiego archiwum p. Franciszka K o w a l i s z y n a, udało się autorowi zillustrować niniejsze szkice podobiznami ostatnich zabytków przedmieść, których niebawem nie stanie, bo zajmą ich miejsce okazałe domy stołeczne.

Pierwotne szkice uzupełniłem i rozszerzyłem nowymi szczegółami i obrazkami, do których cennego materiału dostarczyły mi takie żywe kroniki przedmieścia, a głównie jego rdzenia: Łyczakowa, jak p. Adolf P o d ł o w s k i długoletni radny miasta i jego syn Józef, oraz pan Jan D o b r o w o l s k i, z dziada pradziada obywatel Łyczakowa. Wzmianka na tem miejscu niech będzie im szczerą podzięką odemnie. Dla mnie będzie dostateczną nagrodą, jeśli ta skromna praca będzie jedną więcej cząsteczką do dziejów ojczystego miasta, dla którego każdy, kto może, powinien ze swej strony choć drobną dołożyć cegiełkę.

We Lwowie, w grudniu 1909.

Adam Krajewski.

I.

Przedmieścia lwowskie w ogólności.

Przedmieścia lwowskie, to świat był do niedawna jeszcze odrębny, tak, jak odrębnym typem był lwowski przedmieszczanin, zasadniczo różny od przeciętnego Lwowianina, nie wiele z nim w obyczajach mający wspólnego; zasadniczo także różny od chłopca, zamieszkującego wioski, tuż do przedmieść przytykające. Tylko, że gdy mieszkaniec Lwowa, ten z klasy najniższej, pod względem obyczajowym i majątkowym zasymilował się w ciągu lat dziesiątek ze społecznością miejską; tylko, że gdy chłop podmiejski przez bezpośrednie stykanie się z miastem, przesiąka niem czeraz więcej i wytwarza półchłopski proletaryat — przedmieszczanin typowy, który jest celem niniejszego szkicu, zanika powoli i w niewielu może dziesiątkach lat będzie okazem szczątkowym. Dziś już, głębszy badacz tego społecznego odłamu, może tej klasie ludzi dać całkiem właściwe miano: *morituri*.

Tak jest. Przedmieszczanie lwowcy „zanikają“ w dosłownem tego wyrazu znaczeniu. Rozszerzające się z każdym rokiem miasto nie wypiera ich dalej poza granice pierwotne, nie pochłania ich także tak, jakby się zdawało. A gdy się popatrzymy na eleganckie dziś dzielnice, stawiane na dawnej dziedzinie przedmieszczan; gdy spojrzymy na okazałe kamienice, wille i pałacyki, stojące na miejscu dawnych zapadłych domków parterowych z ogrodami i sadami, pytamy siebie mimowoli: co się stało z mieszkańcami tych domostw zapadłych, gdzie się przenieśli siedziby tych ludzi? — Boć w tym samym stosunku, jak się wielkie

miasto ku rogatkom, niby wieloramienny polip wyciąga, nie zabudowują się przestrzenie pozarogatkowe, które, naturalnym rzeczą rozwojem, powinny były już osiągnąć wiosek podmiejskich.

Stawmy sobie przed oczy obraz Lwowa z przed lat mniej więcej 40 t. j. przed erą autonomiczną bezpośrednio, bo od niej poczyna się nowa epoka rozwoju Lwowa. Zaczynając od Żółkiewskiego, pójdziemy wokół miasta, kreśląc linię, gdzie się ściśle przedmiejskie poczynało życie.

Na Żółkiewskim tedy zaczynało się ono od ulicy św. Marcina, i poza górę Zamkową sięgając, wnikało w miasto do połowy ulicy Teatyńskiej i Wojciecha, obejmując zarazem górną część Zniesienia.

Na Łyczakowie początek swój brało od kościoła św. Antoniego. Dzisiejsze podcmentarze z ulicą św. Piotra, Pijarów i Cetnerówką, było to jądro przedmieścia. W dalszym ciągu szedł pas przedmiejski w ulicę na Rurach (dziś Kochanowskiego) aż po Pasieki Halickie; ulicą Zieloną od dzisiejszej Wagilewicza; Stryjską (dziś Zyblikiewicza) od ulicy św. Marka; całą okolicą Cytadeli — i dotykał do Wólki, a za nią obejmował Bajki aż po Gródecki cmentarz. Gródeckie mniej więcej od dzisiejszej ulicy Józefata; Janowskie w jego całej rozciągłości, Kleparowskie do rogatki, a nakoniec Zamarstynowskie po rogatkę, to były już szczerze przedmieścia. Jak oazy na pustyni, stały i tu gdzieś kamienice i gmachy fabryczne lub młyny i browary, nie psuły one jednak niczem charakteru przedmieść i ich wyglądu. Obce też były i mieszkańcom przedmieść te oazy i tolerowane przez nich, jak i ich właściciele — intruzy.

Idąc tym samym, co wyżej porządkiem, spostrzegamy, że z dzielnicy Żółkiewskiej dawniejszych przedmieszczan wyparł żywioł żydowski, który się tam rozsiadł najwięcej i czemraz więcej rozsiada się z każdym rokiem. Resztki przedmieszczan tulą się jeszcze w tyle, ku błoniom Zamarstynowskim i na Zniesieniu. Z ulicy Teatyńskiej zniknęli zupełnie. Na Łyczakowie granica przedmieścia przesunęła się do ulicy Ubocz, a z drugiej strony od górnej Pijarów. Na Rurach pozostała im zaledwie część górna Pohulanki. Zielona ulica, do niedawna jeszcze dzielnica zupełnie martwa,

tuli w górnej swej części ludność przedmiejską w nędznych ruderach, będących niby mamutami z tych czasów, gdy ulica ta była głównym traktem do Kołomyi i dalej, na południowy Wschód. W dzielnicy ku Stryjskiemu trzymają się jeszcze na Snopkowie i Żelaznej Wodzie i trochę na Zofiówce. Na Stryjskiem zaledwie resztki. Na Bajkach i Wólce posunięci w kąty, aż ku błoniom Kulparkowa. Charakter Gródeckiego zmienił się doszczętnie, toż samo w znacznej części Janowskiego, a Kleparów i Zamarstynów z uczciwych przedmieść zmieniły się przeważnie w kolonie złodziejskie — pobytowców. Właściwi przedmieszczenie zwyrodniali i — znikli z powierzchni, albo gdzieniegdzie się jeszcze rzadko mieszczą.

Znikanie to dawnych przedmieszczeń Lwowa z widowni, mniejsza o to, czy się oni asymilują z żywiołami czysto miejskimi, czy wymierają, czy wreszcie wyjeżdżają do innych miast kraju; fakt ten, nie dający się, jako zbyt widoczny, zaprzeczyć, wart jest, aby mu poświęcić kart kilka w szkicu historycznym i obyczajowym. Jeżeli bowiem ma swą obszerną historię stan szlachecki, jeżeli ma ją i mieszczański, tem samem nie wolno przejść do porządku dziennego nad stanem, od wieków osiadłym u bram i murów Lwiego grodu, stanem rdzennie polskim albo ruskim, a właściwie, niestety, zruszczałym z dawnych osadników polskich.

Jeżeli mówię o stanie przedmiejskim zruszczałym, to zaznaczam, że lwowscy przedmieszczenie przed dwoma wiekami byli w znacznej części osadnikami, albo na miejskich łąkach, albo na jurydykach szlacheckich, sprowadzonymi „na wole“ w miejsce albo zagarniętych przez zagony tatarskie chłopów ruskich, albo też w miejsce takichże samych ruskich chłopów, którzy z osad zbiegli w inne strony, szukając lepszego szczęścia. Byli to więc prosto wolni chłopci, z Mazurów przeważnie, albo też, jak n. p. na Zniesieniu, osiedleni, udarowani wolnością jeńcy tatarscy, którzy dość szybko złączyli się z tutejszą ludnością, a grecki przyjęli obrządek. Mazurski typ zachował się przeważnie dotąd na górnym Łyczakowie, Cetnerówce, na Mazurówce i Pasiekach, a także na przedmieściu Janowskiem. Rezolucyjność, gorąca krew mazurska, zmysł do handlu i prze-

mysłu, są to jeszcze dziś wybitne cechy, acz skrzyżowanego już mocno pokolenia. Zachowały się one też w pieśni, jak w typowym tak zw. „Łyczakowskim krakowiaku“, wspólnym wszystkim przedmieściom, gdzie narodowe ruskie motywy nie zdołały sobie jeszcze zdobyć obywatelstwa. To samo da się powiedzieć o obrzędach rodzinnych, o zwyczajach odwiecznych, uroczystościach, a nawet — i to w znacznej mierze — o stroju, oczywiście przystosowanym już do wymagań życia miejskiego.

Po zmianach politycznych w Galicyi, a temśsamem we Lwowie, zniknęły jurydyki szlacheckie; mury warowni miejskich runęły pod kilofem reformatorów, a rozwojowi miasta otworzył się szeroki horyzont. Na miejscu dawnych jurydyk i posesyi patrycyuszów lwowskich, zjawily się przedmieścia; na miejsce dawnych osadników, na Wolach i Wólkach, przyszli przedmieszczanie, którzy wykupili grunty, na których siedzieli prawem osadnictwa.

Stosunek przedmieść do miasta musiał po usunięciu murów inne przybrać formy i teraz zaczęło się naprawdę życie tych przedmieść i przedmieszczan Lwowa.

* * *

Przechodząc do szczegółów o lwowskich przedmieściach, należałoby trzymać się porządku chronologicznego, mianowicie zaczynać je po starszeństwie. Pod tym względem jednak wypada zmienić porządek; jakkolwiek bowiem bezsprzecznie starsze może być przedmieście Krakowskie, jako najbliższe starożytnego podgrodzia księcia, musi ono pod wielu względami ustąpić tego pierwszeństwa Łyczakowu. Osadnictwo bowiem na pierwszym nie miało nigdy i do dziś nie ma cechy wybitnie polskiej, a po drugie i Łyczaków, jako rdzeń dawnego przedmieścia Halickiego, dał typ innym lwowskim przedmieściom. Powstanie swe datuje zresztą także od czasów Kazimierzowskich, a w dokumencie przysądżającym przedmieszczanom łyczakowskim kompleks gruntów na Pasiekach, są powołane przywileje Jagiellonów.

II.

Łyczaków wogóle.

„Tam na Łyczakowie
Rośnie biała brzoza,
Łyczakowski chłopiec
Urwał się z powroza“.

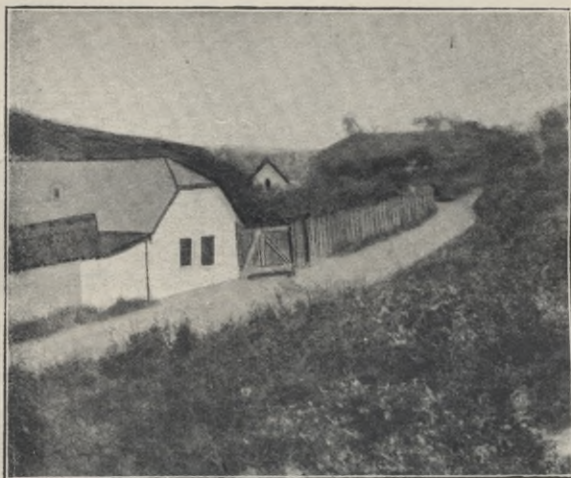
Temi dosadnymi słowami charakteryzuje jeden z niezliczonych wariantów t. zw. łyczakowskiego krakowiaka najmłodsze latorośle łyczakowskich przedmieszczan. Oczywiście nie można tego odnosić do ogółu mieszkańców Łyczakowa, którzy, wyszedłszy z lat pacholecych, dzielnymi stają się obywatelami, stwierdzając słowa poety, że: „co ma żyć w pieśni, zginąć powinno w rzeczywistości“.

Łyczaków! jeżeli o nim mówię, nie mam na myśli nazwanej tem mianem ogromnej dzielnicy IV. Lwowa, liczącej 40.000 mieszkańców. Chcę mówić o tym popularnym szeroko „Łyczakowie“, dawniej rozległym, dziś falą wielkemiejskiej kultury zamkniętym w prostokącie, zaczynającym się od ulicy św. Piotra, a kończącym się o pół kilometra za rogatką „Na Jałowcu“. Tam bowiem gnieźdzą się ostatni Mohikanowie Łyczakowa, przed laty jeszcze 40 niepodzielnie panujący na całym przedmieściu, dziś zasymlowani przez żywioł miejski, lub poza obręb przedmieścia wyparci, gdzie przeważnie utracili pierwotny swój charakter odrębny.

Rodowity Łyczakowianin ma swój wybitnie lokalny patriotyzm i uważa się za coś nieskończenie wyższego od przeciętnego mieszkańca Lwowa, którego, że tak powiem:

toleruje. *In illo tempore*, kiedy to jeszcze tramwaj elektryczny nie zawiózł cywilizacji na górny Łyczaków, miejski „kaban“, zapuściwszy się samopas „na piaski“, nie był pewien, czy wróci bez guza na czole, lub podbitego oka. I spotykało to miejskich paniczów dość często, a to dlatego, że się łyczakowskiemu wyrostkowi nie podobała czyjaś facyata. Bywało to niejako! protestem przeciw wdzieraniu się „miasta“ na terytoryum Łyczakowa.

Ostatni protest przeciw cywilizacji wygłosiła przed laty 16 obywatelka Łyczakowa górnego p. S., robiąc tram-



Ryc. 1. Ostatnie domy w ulicy Krzywozyckiej.
(Koniec miasta.)

wajowi elektrycznemu, gdy się po raz pierwszy tam ukazał, niemożliwą fizycznie do wykonania propozycję z odpowiednimi gestami.

Typ Łyczakowianina rodowitego z dziada i pradziada, to typ wybitnie mazurski i choć wiekowe pożycie wśród Rusinów odmieniło go nieco, przecież nie zdołało go wynarodowić. Strój oczywiście skomplikował się, ale charakterystyczna czapka z „sadełkiem“, rodzaj maciejówki, została i stanowi ozdobę głowy Łyczakowianina, tak samo, jak owiązanie głowy gładkie u starych kobiet pozostało. Są to oczywiście okazy szczątkowe, bo też i nie wiele tych

rodowitych Łyczakowian pozostało. „Arystokracja“ starego Łyczakowa albo śpi od dawna na mogiłkach, albo w dzisiejszym pokoleniu straciła swe cechy. Niewielu tych „arystokratów“ i niemal na palcach policzyć ich można!

A więc k r u p i a r z e: Tabakiewiczze, Dobrzańscy, Kijaki, Rewińscy, Marciniaki, Dobrowolscy, Osińscy, Kobylaki, Landmany, Legezińscy, Porady, Kozaczewscy, Goreccy, Godysze, Juszczeni, Barańscy; z r z e ż n i k ó w: Laskowscy, Razińscy, Niewiadomscy; nakoniec g a r b a r z e (śląd po nich nie pozostał) Matusiewiczze. *Nec locus, ubi Troia...*

Łyczakowianie, jak na potomków Mazurów przystało, są bardzo pobożni, czego ślady w fundacjach kościoła parafialnego św. Antoniego i cerkwi św. Piotra, dla garstki Rusinów z dawnego kościoła Paulinów przemienionej na rozkaz cesarza Józefa II. Pobożność ta jednak nie przeszkadzała im silnie wierzyć w gusa i czary; wogóle wyznają zasadę, że dobrze żyć w zgodzie z Panem Bogiem, ale i dyabłu należy oddać, co mu się należy — prawem kaduka. Na zabobonność tę złożyło się wiele danych, a w pierwszym rzędzie otoczenie osady. Z jednej strony puste wzgórze „Kaiserwaldu“, ulubione miejsce samobójców - wisielców, z drugiej wydmy piaszczyste, t. zw. łyczakowskiej góry z dyabelskim niegdyś młynem na szczycie (dziś park). Do tego wszystkiego cmentarz — to chyba dość, aby człowieka „transcendentalnie“ usposobić!...

Niewielu Lwowianom tkwi już w pamięci ta rudera, zwana „młynem dyabelskim“ od lat najdawniejszych swego istnienia. Jakiś niefortunny przemysłowiec, korzystając z wiatrów, wiejących silnie na łyczakowskiej górze, zbudował tam z cegieł i kamienia wiatrak. Młyn ten funkcjonował dość krótko. Postawiony na wzgórzu, w miejscu, gdzie się wiatry przeciwne krzyżowały, nie był w stanie istnieć.

Skrzydła łamały się ustawicznie, robota ciągle ustawała, aż właściciel w końcu zbankrutował i nie zatroszczył się nawet o rozebranie budynku.

Opustoszała rudera, a lud urobił sobie z latami podanie, że dyabeł obrał sobie w tem miejscu siedlisko i dlatego mleć nie pozwolił.

Kto mógł, stronił tedy, zwłaszcza nocą opóźniony przechodzień, od dyabelskiego młyna, przez którego otwarte okna i wrota (te powyjmowano) wiatr hulał i jęczał jak potępieniec i jeszcze straszniejszą czynił rudere.

Strach przed dyabłem wyzyskiwali wybornie dla swych celów rzezimieszki i awanturnicy, i przez długie lata służył im młyn ten za bezpieczne przed pogonią schronienie.

Na tle stosunków Łyczakowskich i młyna dyabelskiego napisał przed czterdziestu laty p. Welichowski wcale udatną powiastkę ludową.

Niema już dziś „młyna dyabelskiego“, znikają czeraz więcej i przywiązane do niego legendy i podania Łyczakowskie, a zamiast szumiących skrzydeł wiatraka, rozbrzmiewa w pogodne dni gwarnie rozmowa spacerujących po parku Łyczakowskim gości z miasta.

Mimo cmentarnego sąsiedztwa, wieczorami na ulicach Łyczakowa górnego, zwłaszcza na Mazurówce i Cetnerówce, tuż do cmentarza przytykających, rozbrzmiewają chrapliwosmętne tony harmonijek ręcznych, nieodłącznego instrumentu Łyczakowianina-młodzieńca. Harmonijka ta, to jedyna przyjemność po usilnej, a bardzo różnorodnej pracy obywatela Łyczakowskiego przedmieścia. Powiadam: różnorodnej, bo rodowity Łyczakowianin, jako potomek Mazurów, jest „do wszystkiego probant“ i każdy z nich zrobić potrafi to, co mu potrzeba — stosownie do pory roku.

I tak: rzeźnikiem jest w zimie, o ile nie jest krupiarzem, co jest zajęciem już stałym; w lecie idzie na „mularkę“, albo jako podmajstrzy, albo jako czeladnik. Ci ostatni, o ile znowu nie mają roboty w rzeźnictwie, pracują sezonowo. A więc: na parę tygodni przed Bożem Narodzeniem „budują“ szopki, które następnie na Rynku i placach sprzedają. Ulubionem jeszcze zajęciem jest hodowla gołębi, uprawiana nie tylko jako sport, ale i na handel. Do ubocznych przemysłów należy znowu handel ptaszkami śpiewającymi, które łowią w siatki i samotrzaski. Policja pilnie przestrzega, by ptaków śpiewających nie sprzedawano, ale gdy nigdy nie brak amatorów do kupna, więc i sprzedający się znajdują i są sposoby ominięcia zakazu. Wyrostek Łyczakowski, ptasznik, nosi dla omylenia policji towar swój — w kieszeni.

Idzie na plac Strzelecki, gdzie jest targowica ptasia. Ptasznik odgadnie po minie, czy chcesz co kupić, czy tylko przygodnie tam się znalazłeś. Zbliża się do ciebie i pyta: „Może pan dzwońca kupi?” Patrzysz, gdzie ten dzwonec — a oto z kieszeni spodni lub kurtki pokazuje ci sprzedający główkę ptaka. Nie chcesz dzwońca — on sięga ręką do drugiej kieszeni i zachęca: „Ładny czizik“. Masz tedy do wyboru, bo nieraz w każdej kieszeni, ile ich chłopak ma, jeden ptak siedzi. I takim niedozwolonym handlem, gdy niema innego zajęcia, nieraz zimę całą przebyć trzeba... bo bieda na przedmieściu, to rzecz nie nowa i znana. Dawne dobre czasy przeminęły i dobrobyt ulotnił się wraz z dawnym pokoleniem. Jakoż za czasów analfabetyzmu lepiej się działo na Łyczakowie, i może dlatego młodzież przedmiejska z musu tylko do szkoły chodzi, a nauczyciele od św. Antoniego i Zimorowicza krzyż pański mają z „latoroślami“ na wstępie wymienionemi.

Ojcowie, ci *minorum gentium*, czyli z plebsu Łyczakowskiego, woleliby dzieci swych użyć do rozwożenia piasku po mieście, niż posyłać do szkoły. Swoją drogą, szkoła ta, choć wypoleruje trochę mózgi i obyczaje, nie oduczy Łyczakowian chyba do końca świata właściwego im akcentu, słynnego na całą Polskę.

Osada czysto piaskarska, to od niepamiętnych czasów „Mazurówka“. Rozsiadła się ona jako dalsze przedłużenie dzisiejszej ulicy Pijarów, tuż pod parkanem cmentarza od strony wschodniej, zamknięta z jednej strony Cetnerówką, z drugiej Pohulanką. Nieliczni dziś obywatele tamtejsi, eksploatują piasek z pobliskiej góry piaskowej, a niema dziś chyba, jak i przed półwiekiem nie było człowieka we Lwowie, któregooby z drzemki poobiednej nie zbudził gromki charakterystyczny pisk chłopca piaskarskiego, wykrzykującego swoje „piaask trze!“

Piaskarz z Mazurówki nie pojmuje zabawy bez śpiewek, a tem mniej bez „harmonii“.

Instrument ten jest celem marzeń chłopaka piaskarskiego, i jeżeli zdoła tylko z uszczerbkiem własnego żołądka uciuć kilka guldenów, z pewnością kupi sobie harmonijkę, choćby — butów nie miał dobrych na nogach. Lud to bardzo zawadyacki. Przechodzącego surdutowca, nawet z kobietą,

zaczepi bez najmniejszego powodu; na każde zawołanie gotów do rozprawy, aby tylko kogoś obić. A już biada bladolicemu młodzieńcowi z miasta, jeżeli na Mazurówkę zechce skierować swe kroki za przedmiejską dziewoją, powracającą z roboty. „Białe kaftany“ biją niemiłosiernie za amory na swoim terytorium podcmentarnem.

Bez wątpienia bójki i grubo zakorzenione między „narodem“ pijaństwo są wyptywem braku cywilizacyi, której światło na Mazurówkę prawie że nie dotarło, a przymus szkolny znany jest tam tylko z wezwań, roznoszonych przez miejskich pachotków; a i ci spełniają swą misję bardzo grzecznie, nie mając ochoty spotkać się z „prętem“ piaskarza, mającym najczęściej kształt i objętość koła z płotu. Dość spojrzeć na kilkoletnich chłopców, noszących piasek po kamienicach, aby się przekonać, że to nie przesada. Dziś już, co prawda, stosunki zmieniły się na lepsze, dzięki gęściejszemu zaludnieniu przedmieścia Łyczakowskiego i poblizkości plantacyi i boiska sokolego, ale inaczej tam bywało, gdy przed laty dominował jeszcze nad Mazurówką „młyn dyabelski“, jak to wyżej wspomniano.

Animusz wojenny, w miarę jak bieda zagłada na przedmieścia, ostyga zresztą. Niedawno doleciały mnie smętne jakieś tony harmonijki, jako akompaniament nowej zwrotki „łyczakowskiego“ krakowiaka:

Nie smuć się, Kasieńko,
Chociaż z tobą bieda,
Kupię ci spodnicę,
Sprzedasz ją u żyda...

Smutne te słowa budzą refleksye. Dawne sadyby Łyczakowian rok za rokiem przechodzą w ręce starozakonnych. Na miejscu domków i ogrodów przedmiejskich wyrastają czynszowe, spekulacyjne kamienice, przeryniają się nowe ulice; i przyjdzie czas, gdy z dawnego Łyczakowa pozostanie, jako pamiątka po nim, cmentarz, mianem przedmieścia nazwany i zapadłe mogiły dawnych patryarchów łyczakowskich, na których nie będzie komu może spróchniałego krzyża odnowić i lampki zapalić w dzień Zaduszny.

III.

Górny Łyczaków przed pół wiekiem.

Zrazu nieśmiało, a następnie i głośniej i śmielej, rozlega się z wyżyny łyczakowskiej gwizd lokomotywy, oznajmiając reszcie przedmieszczan, że dawne dobre czasy już niepowrotnie przeminęły i że koło wszechwładnego postępu swem skrzydełkiem musnęło ostatnie *tusculum* „narodu“ przedmiejskiego, który w „Łyczakowianach“ miał swój typ i wzór, na których kształtowali się ludzie innych przedmieść, okalających niby wieńcem stary gród Lwa. Wzorowali się — powiadam — inni przedmieszczanie, ale ani do swego modelu pierwotnego nigdy nie dorosli, ani tem mniej go prześcignęli. Albo bowiem złali się zupełnie z żywiołem miejskim, albo zdeprawowali — jak Zniesienie i Zamarstynów, a nawet Kleparów — natrafiwszy tam na żywioł destrukcyjny. Łyczaków, górny mianowicie, zachował nawet do dziś jeszcze pewne cechy odrębne; innym zaś całe był przed pół wiekiem i temu to Łyczakowu, który niebawem zginie z powierzchni ziemi, tych parę wspomnień niniejszem poświęcam.

Łyczaków górny był od cerkwi św. Piotra i Pawła aż po rogatkę, jakby na poły wsią, wśród której dominowały dwa zajazdy, jako że przy głównym to było trakcie Gliniańskim: gospoda Otawichy i Hotel de Laus, mający zupełnie inny od dzisiejszej szynkowni ogródkowej charakter. Domki parterowe, wyłącznie z obszernymi podwórzami i ogrodami, oprócz paru rzeźników, zamieszkiwali niemal wyłącznie krupiarze, a liczono ich do czterdziestu rodzin i to ze sobą bądź spokrewnionych, bądź spowinowaconych, a już co najmniej pokumanych.



II 7507

O zapobiegliwości i pracowitości tych krupiarzy nie ma dzisiejsze pokolenie pojęcia. Praca tam w tych domkach trwała dniem i nocą bez przerwy niemal, a przedmiejscy poczciwcy byli przeważnie tego zdania, że dość się jeszcze



Ryc. 2. Jaśkiewiczowa przedmieszczanka.
(Portret olejny w Muzeum narod. im. króla Jana III.)

wyśpią wieczność całą na „łyczakowskich piaskach“ pod Mazurówką (takim mianem nazywano cmentarz Łyczakowski).

Porządek dzienny górnego Łyczakowianina bywał jednostajny, jak jednostajnem było szare życie tych ludzi. W dniu powszednie zaraz po północy wybierali się krupiarze za rogatkę Łyczakowską dla zakupna hreczki, którą z Winnik, Czyżek, Mikłaszowa, Dawidowa, Prus, Jaryczowa, a nawet z dalszych okolic dowozili włościanie. Stanowisko, rodzaj giełdy hreczanej, mieściło się przy karczmach Weissmana i Berysza Jukla. To też, skoro ukończono transakcye handlowe, zapijano na miejscu „mohorycz“, poczem chłopci odjeżdżali sobie do domu, a krupiarze gdzieś około 7-mej rano stawali u swoich larów i penatów, skąd gospodynię, zamaszystą kobiecinę, wyprawiali do miasta na targ z towarem, dnia poprzedniego przygotowanym; musiało być tego dosyć, aby można tym produktem zaopatrzyć Lwów cały, nie znano bowiem jeszcze parowych młynów, ni młynów amerykańskich. Rojno było więc przy straganach na placach Halickim, Krakowskim i w Rynku, i ledwie że był czas na wpadnięcie na „śniadanie“ „pod dzwona“ lub „kanarki“, albo „wiewiórkę“ dla pokrzepienia zmęczonego targiem gardziołka. Odetchnąć można było ledwie o trzy kwadransy na drugą, gdy dzwonek z ratusza wezwał do uprzątnięcia straganów. Wtedy, uraczone paru szklankami piwa, jechały krupiarzki na swoich wózkach do domu na obiad, aby po nim zabrać się do czyszczenia tego towaru na dzień następny, który pan majster przy pomocy czeladzi w kieratowym młynie lub ręcznym młynku oraz żarnie z grubsza przysposobił. Tak schodził czas do wieczora, i wtedy dawano sobie nieco folgi przed spaniem, by po północy znowu zabrać się do roboty na dzień następny. Oczywiście, że w tym pracowitym ruchu nie zapominano i o Bogu, że czczono go i ścisłym postem przedwielkanocnym, w którym to czasie nawet omasty, smalcu lub masła nie używano, lecz jedynie oleju konopnego, który bili z siemienia dwaj krupiarze: Wojnarowicz i Kozaczewski.

Dawano jednak sobie ducha w święta Wielkanocy i Bożego narodzenia. Wspomniałem na wstępie, że górni Łyczakowianie stanowili niejako jedną wielką rodzinę; nie rozumiano tedy zabawy, w którejby nie brali udziału, nie już blizcy, ale nawet dalsi sąsiedzi. Taki poczęstunek, rozpoczęty rano po powrocie z kościoła lub cerkwi, trwał spo-

sobem procesyonalnym od domu do domu nieraz dobę całą i pochłaniał niezmierną masę kiełbas, kiszek, pieczeni i kapusty, oraz beczki całe piwa i jeziora wódki (tanich w owe czasy napitków).

Niezależnie od takich uroczystości, bawiono się na weselach, chrzcinach i t. p. rodzinnych okazyach. Młodzież żeńniono przeważnie sąsiad ze sąsiadem, choć i na inne przedmieścia oddawano córki w zamęście, albo swatano synów — jako rozsadniki kultu Łyczakowskiego. Ponieważ były to czasy ciężkie dla popisowej młodzi, więc głównie, kogo na



Ryc. 3. „Hotel de Laus“ — dawne kasyno Łyczakowa.

to stać było, starano się z wojska wykupić; była na to nawet taksa, około 1200 guldenów! Ale płacono, bo co było robić. W wojsku przecież młody całą tracił wolność na lat kilkanaście!

Młodzi poznawali się zwykle na zabawach, świętach lub weselach, i gdy jedno i drugie dość sobie już powiedziało, mówiono rodzicom. Ci ułożyli się między sobą w kwestyi posagu i następnie zapijano z reguły sprawę w „Hotelu de Laus“ lub u „Łysego Maćka“ (od dawna nie istniejący szynk na pagórku naprzeciw cerkwi św. Piotra, gdzie dziś dom nr. 97). Było to coś w rodzaju zaręczyn.

Ponieważ w owe czasy przyrzeczenie małżeństwa brano na seryo, więc dawano niebawem na zapowiedzi i oznaczano dzień ślubu i wesela, które trwało z reguły dwa, a nierzadko i trzy dni, zawsze prawie w niedzielę. Wesele odbywało się oczywiście w domu i kosztem rodziców panny młodej, z wyjątkiem muzyki i piwa, bo ten wydatek należał do nowożeńca.

We czwartek, a więc na trzy dni przed weselem, jechała panna młoda ze starościną zwykłym wozem spraszać gości weselnych, w sobotę zaś dwaj druźbowie ze strony pana młodego, odświętnie przybrani, z bukietami u piersi, ponawiali zaproszenie tej treści oracyą:

„Za pierwszą i powtórna prezencyą w dom państwa wkraczamy, ukłon pana młodego i panny młodej do nogi składamy. Pan X. i panna Y. proszą, byście państwo nieodmowni byli, w niedzielę o godzinie 6-tej wieczorem do kościoła św. Antoniego przybyli, a potem do domu państwa młodych, gdzie się będziemy weselili. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“.

Po takim powitaniu ze strony druźbów zapraszano ich na wódkę i przekąskę. I panna młoda nie mogła odmówić poczęstunku, a na dodatek, na odchodnem, zapraszana na wesele gospodyni, wtykała jej do ręki cwancygięra lub guldena „na warzoszkę“.

W przeddzień ślubu zaproszeni goście przysyłałi t. zw. „pocztę“, mianowicie: parę gęsi, indyka, parę kur lub kaczek; było to znakiem, że goście zjawią się na weselu.

Zaraz po obiedzie w niedzielę jawili się w domu weselnym muzykanci, — broń Boże żydzi! — dwu skrzypicieli, jeden basista, jeden z fletem lub klarnetem i dwu waltornistów lub puzonistów. Podjadłszy sobie, a więcej jeszcze podpiwszy, ruszali z drużkami po starościnę, druźbów i swachę. Jak taka kalwakada wyglądała nieraz po karnawałowemu, podaję opis wesela u krupiarza K..., udzielony mi uprzejmie przez p. Jana Dobrowolskiego, niegdyś stałego gościa na łyczakowskich weseliskach.

Oto na czele pochodu szedł druźba w kapeluszu naszymi wiórami stolarskimi, w kaftanie pstrokatym, pchając przed sobą taczkę, dywanem okrytą. Za nim szła muzyka, a za nią drugi druźba na koniu, w masce, we fraku i francuskim

trójgraniastym kapeluszu. Siedział twarzą do ogona końskiego, a długie pióro gęsie maczał w kałamarzu, tuż pod ogonem szkapę uwiązany i niby zapisywał tych, co się na niego gapili. Muzyka tymczasem grała skoczne krakowiaki.

Kiedy drużbowie posprowadzali gości na wesele, byli już całe pod dobrą datą, co nie przeszkadzało nowemu poczęstunkowi, zanim państwo młodzi do ślubu się zebrali. Kiedy to się stało, obsiedli rodzice i goście ławy lub stołki dokoła, a państwo młodzi stanęli po środku, przed nimi zaś z muzyką, wieńcem i bukietem, nakrytym welonem, ustawili się drużbowie. Jeden drużba podniósł wieńiec i bukiet w górę, a drugi odchrząknąwszy, w te słowa zaczął przemowę weselną:

„Zaleciwszy dzień dzisiejszy aktu weselnego,
W którym jestem oratorem od Boga samego,
Widząc ten piękny prezent w ręku kolegi mego,
Niech mi się godzi mówić najpierw Bogu wszech-
[mogącemu,

A potem całemu zgromadzeniu weselnemu:

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

O korono ukochana, coś żalu dodała,

Żeś tyle łez panińskich na siebie wylała,

Czyż jeszcze nie masz zadośćuczynienia?

Jeno dodajesz wciąż uzalania!

Przystaj ojciec do córki i ty matko zgniła (chcę
[mówić miła),

By twa luba córka swą parszywą (chcę mówić,
[panieńską głowę)

Pod twoje nogi skłoniła.

Dziś się bowiem rozłącza z rodzicami swemi,

A w stanie małżeńskim do śmierci zostanie; Wiwat!

W tem miejscu muzyka grała tusz!

Kiedy już ubrano pannę młodą, drużba obrócił się do pana młodego z oracyą następującą:

„Idzie jawor zielony, ślicznie rozkwitniony,
Który będzie młodemu do boku złożony;
Składa go panna młoda do boku waćpana,

Dziękując za koronę, która jej oddana,
Bo u mnie ta korona w szacunku zostaje
A ja na znak przyjaźni ten bukiet oddaję. Wiwat!
[(tusz).

Po tych słowach przypinał družba nowożeńcowi bukiet do klapy surduta, a rodzice błogosławili klęczącą parę oblubieńców, przyczem nie obeszło się nigdy bez płaczu, a nadto i bez tłuszciejszych dowcipów na temat chrzcin za rok i t. p.

Po tej ceremonii ruszał pochód — jeśli w dzień pogodny — pieszo do cerkwi św. Piotra i Pawła, lub kościoła św. Antoniego, stosownie do obrządku młodej pary, z muzyką na czele. Po obrzędzie zaślubin witała matka młodą



Ryc. 4. Domy z facytkami, zwane „pod słońcem“, dawniej Rozkosza, ulica Łyczakowska l. 59.

parę w progu domu. Przykrywano młodych dużym kożuchem, włosami na wierzch i na tacy podawano im chleb, cukier i wódkę, poczem po pierwszym posiłku hulano do północy, to jest do kolacy, trwającej do godziny drugiej.

Pod koniec wieczery ginęła nagle panna młoda, a obowiązkiem oblubieńca, czy też młodego żonkosia było ją wyszukać. Trwało to nieraz i dobre pół godziny, zanim ją znaleziono.

Starym obyczajem rozpoczynano teraz taniec t. zw. „poduszkowy“ przy dźwiękach poloneza. W środku pokoju siadał pan młody na krześle; na kolana kładziono mu poduszkę, a na niej usadzano młodą małżonkę, poczem druchny zdejmowały z niej welon i wianek mirtowy. I znowu jeden

z druzbów wnosił na tacy czepiec, a podniósłszy go w górę, w te słowa przemawiał do młodej niewiasty zameżnej:

„Czy nie lepiej ci było w panieństwie zostawać,
Anizeli na głowie przypinać se dawać?
Masz nosik maleńki, jak za dudka ogórek,
A wargi ci sterczą, jak u pieca przymurek. Wiwat!“

Po tej niebardzo estetycznej piosence, czy oracyi, podczas gdy starościna z obecnymi meżatkami ubierała w cze-



Ryc. 5. Typowy dom przedmieszczański (Łyczakowska l. 141).

(Przeznaczony do rozebrania.)

piec panią młodą, sypały się dowcipy, niejednokrotnie tak tłuste, że powtarzać ich niepodobna. W welon i wianek ubierano teraz druchnę i tańczono w koło młodej pary, sypiąc jej na podolek pieniądze, a równocześnie całując w policzki: kobiety pana młodego, zaś mężczyźni panią młodą.

Po poduszkowym tańcu hasano dalej do białego dnia, a nazajutrz z reguły działo się to samo na „poprawinach“ na nowem gospodarstwie u młodych nowożeńców. Tak

więc mimo ciężkiej pracy byli dawni Łyczakowianie przy zabawie i tanach niestrudzeni; żyli ciężko, ale po bożemu.

W niedziele i święta zapełniali i rano i na nieszpórach kościół św. Antoniego, a na roraty w adwencie o 5-tej rano już świątynia była pełna.

Dziś inaczej na górnym Łyczakowie. Handel krupami popadł w obce ręce; krupiarze albo podupadli, albo zniknęli, albo stali się agentami handlarzy hreczką i produktami młynarskimi. Z całej tej gromady dawnych Łyczakowców, którzy tu niepodzielnie przed pół wiekiem panowali, pozostało dwu jeszcze, jakby na pokaz i świadectwo dawnych dobrych czasów.

Jako pomnik tych dawnych czasów, pozostała dziś jeszcze kaplica, rozumie się, że ani podobna do dawnej, co do której różne stare legendy istnieją; to jednak pewna, że początki dawnej figury giną w niepamięci najstarszych Łyczakowian. Samą figurę kamienną Matki Boskiej miał postawić jakiś szlachcic awanturniczy, jako ekspiacyę za grzechy swoje. Mówią, że miał to być jakiś obywatel ziemski z okolic Lwowa. Jedna wersja, cytowana przez Schnüra-Pepłowskiego, podaje Mikołaja Potockiego, słynnego z dziwactw starostę Kaniowskiego. Mnie się atoli zdaje, że owym awanturnicznym szlachcicem, mógł być nie kto inny, jak słynny w połowie XVII. wieku pan na Winnikach, Młynowcach, Podborcach i t. d. Łahodowski, którego mieszczanie lwowscy dobrze pamiętali z rozlicznych warcholstw, jakich się dopuszczał. Napewno i przedmieszczanom tem bardziej nie przepuścił, a będąc we Lwowie często, tamtędy przez Łyczaków jeździł do domu i z domu.

Figura sama stała zrazu pośrodku gościńca Gliniańskiego. Jakiś dygnitarz austriacki, jadąc raz wieczorem, zaważdził kolaską o figurę i złamał oś. Tem rozgniewany, kazał nazajutrz figurę rozebrać i porzucić obok pod parkanem. Niebawem ociemniał..

Pobożni łyczakowscy przedmieszczanie podnieśli sprofanowaną figurę Matki Bożej z błota i kurzu drogowego i postawili w miejscu, gdzie dziś stoi kaplica. Tak było do roku 1850, w którym krupiarz Parada postawił dokoła figury cztery filary i nakrył je dachem. W kilka lat potem obywatelka Gorecka zainicyowała akcyę budowy kaplicy,

której miejsce przed paru laty zajęła obecna kaplica nowoczesnej struktury.

Jak widzimy, Łyczakowianie dawni byli wytrwałymi w chronieniu swoich pamiątek. Tak samo bronili swej wła-



Ryc. 6. Ostatni wójt przedmiejski Wojciech Dublewski (r. 1812).

(Malował T. Pelczarski we Lwowie.)

sności. Mieli bowiem, niby osobna gmina, swą własność wspólną: kilkadziesiąt morgów gruntu za roгатką łyczakowską, nadane im na użytek tak samo, jak i innym oby-

watelom Lwowa. Snać siedzieli oni na tych swoich gruntach na prawie wolnem, a nie jako powinni do spełniania czynności, jakie były udziałem chłopów, nawet czasowo „na woli“ osadzonych.

Otóż magistrat lwowski, ówczesni sławetni, pozazdrościli przedmieszczanom „halickiego przedmieścia“ owych pastwisk, daleko za ówczesnem miastem położonych i *iure caduco* zająć je chcieli, a przynajmniej zmusić przedmieszczan do odrabiania za używanie gruntu szarwarkowych powinności. Łyczkowie, czyli przedmieszczanie nie dali się; owszem wiedli długi śnać proces, skoro w dniu „pierwszej środy po Wielkanocy 1627“ wnieśli do grodu lwowskiego akt do oblatowania, kończący ostatecznie proces z magistratem lwowskim. Akt ten brzmi w odpisie wierzytelnym tekstu łacińskiego:

„Do urzędu obecnych aktów grodzkich i ziemskich lwowskich stawiając się osobiście szanowny Albertus Otto przedmieszczanin lwowski, oddał temuż urzędowi Dekret Jego król. Mości autentyczny, Pieczęcią większą kancelaryi królestwaznaczony i ręką Jaśnie Wielmożnego Feliksa Kryskiego, kanclerza koronnego podpisany, między Magistratem miasta Lwowa a przedmieszczanami lwowskimi z przyczyn niżej wymienionych wydany, niepodejrzany z żadnej strony, z prośbą, aby tenże dekret do aktów obecnych *per oblatam* wpisano, co też urząd wykonał“.

Ten zaś dekret brzmi jak następuje:

„Zygmunt III. z łaski Boskiej król Polski, Wielkie książe litewskie, ruskie, pruskie, mazowieckie, żmudzkie i Liwonii, jako też dziedziczny król Szwedzki, Gocki, Wandalski. Dajemy do wiadomości tym naszym pismem wszystkim, którym na tem zależy i każdemu z osobna, że kiedy w sprawie szanownego Jakóba Kryskiego i Macieja Ziemiańska w swoim i wszystkich razem przedmieszczan lwowskich imieniu przeciw szanownym: Prokonsulowi, konsulom, adwokatowi, ławnikom i całemu zgromadzeniu naszego miasta Lwowa z okazji przynaglenia i przymuszania przedmieszczan do różnych ciężarów i robót nienależnych wbrew przepisom przywileju Najłaskawszego króla Zygmunta Dziadka naszego przez poruszających tę sprawę właśnie w naszej kancelaryi znalezionej, jako też z powodu zakazu

skupywania i przywożenia, jużto kruszcu, jużto innych towarów rzemieślnikom i kupcom na tymże przedmieściu przebywającym, niemniej z powodu zakazu używania wspólnych pastwisk i wyrębu w lasach, tak drzewa dla domowego użytku, jako też gałęzi i żerdzi na ich własne płoty — w obecności naszej i sądu naszego postawionej i rozpoczętej pewnych inkwizytorów dla naszej informacyi wyznaczylśmy do poznania stanu wspomnianych przedmieszczan, czy zwyczajem obywatelskim, czy też na prawie kmiecym są ulokowani — jużto z aktów i rejestrów obywatelskich, jużto świadectw, wreszcie ze zwyczaju mających się wykonać robót — i czy ciż sami przedmieszczanie jakieś ziemie kmiecie posiadają — i termin strony wspomnianym przed Sądem naszym wyznaczylśmy — tymczasem zawiesiwszy badania o towarach jako rzecz wymaga, aby dekret nasz o powiedzianych wyżej dokładnie świadczył. I tak na terminie dzisiejszym Sądu naszych własnych relacyi, częścią z odwołania się na zdanie assesorów Sądu naszego, przez poruszających tę sprawę do was wystosowanego, częścią z przyjęcia sprawy dotąd przewlekanej przed nami, wreszcie przez naszych assesorów do końca doprowadzonej — wspomnianym stronom czynnym, t. j. przedmieszczanom halickim przez Jakóba Zarzeckiego i Macieja Ziemiańka, cytowane zaś przez Jaśnie Oświeconego Stanisława Krzystanowicza, Syndyka Plenipotenta i jego wysłańców przed nami się znajdujących, a na tym terminie doświadczających, po wprowadzeniu inkwizycyi, za dekretem naszym ukończonej. Obiedwie strony swoje twierdzenia w pierwszych instancyach, wobec nas wnoszone powtarzały — prawa, przywileje i pisma przedstawiały.

I tak strona czynna przedstawiała Przywilej Najłaskawszego Zygmunta Dziadka naszego najpożądańszego — którym obywatele lwowscy i wszyscy inni łany i grunta tegoż miasta posiadający, od wszelkich podatków i ciężarów i robót uwalniają się. A przeciwnie strona wezwana utrzymywała, że do ponoszenia tych ciężarów i robót są obowiązani, — dlatego: że na gruntach obywatelskich, ze stu łanów ulokowani są bez żadnej różnicy, nadto, że nawet sami obywatele wspomnianych gruntów jakaś część

posiadający od tychże wolnymi nie byli — wywodząc to z przywilejów tak naszych, jako też króla Stefana. Nadto wykazywali, że z przywilejów Zygmunta króla, Dziadka naszego, nie obywatelskie ciężary miastu przynależne, lecz królewskie łanom darowanym nałożone, usunięte tym przywilejem były, — i że je znowu innym przywilejem Zygmunta Augusta Dziadka naszego dla obywateli wydanym — ciężary obywatelskie zmniejszono.

Wreszcie z pewnych zapisów przedmieszczan wyprawdzali, że ci są obowiązani do robót zwanych „szarwarki“. Zaś towary tylko obywatelom i tym, którzy prawem obywatelskim się cieszą, na podstawie ich przywilejów przynależą i że słusznie usiłowali przedmieszczanom tegoż zabezpieczyć. Zaś co się tyczy użytku lasów, to te tylko na naprawę dróg publicznych się zachowują, a więc nie można pozwolić prywatnym z nich użytkować. Pastwiska zaś zarówno przedmieszczanom, jak i obywatelom są pozwolone. A na ostatek prosili, aby ich zachowano przy ich prawach i przywilejach.

My z doradcami przy boku naszym zasiadającymi, wysłuchawszy i pilnie zważywszy stron sprzeczkę i rozważywszy to, że przedmieszczanie lwowscy, zamieszkali na tych łanach, które Kaźmierz król nasz poprzednik miastu lwowskiemu darował, a potem tenże sam Kaźmierz jako też Zygmunt Dziadek nasz od ciężarów rozumie się królewskich wyjął — i że te same łany dano na użytek i wygodę miasta jako też obywateli, przybyszów i obcych, którzy je mieli posiadać, budynkami ozdabiać i uprawiać. — A zatem na kmieci i kolonistów te łany obsiadających wolno jest obywatelom lwowskim podatki, ciężary i roboty nakładać, ponieważ sami obywatele lwowscy, a nawet urzędnicy w magistracie, którzy jakąś część tych łanów obywatelskich posiadają — ciężary nazwane szarwarki ponoszą.

A zatem rozstrzygamy, że przedmieszczanie haliCCy powinni i obowiązani są tego rodzaju ciężary ponosić i roboty zwane „szarwarki“ według poprzednich dekretów i danego zwyczaju wykonywać — to zaś wypełnianie ciężarów i robót tak deklarujemy: aby w miejsce długich robót „szarwarki“ każdy przedmieszczanin bez wyjątku z każdego domu rocznie groszy 15 — podobnie i komornicy i którzy

żywność dla koni nabywają 10 groszy, zaś każdy pieszy po 5 groszy do skarbcza publicznego miasta Lwowa składał. Po spełnieniu tego rocznego podatku — już więcej do spełnienia wspomnianych robót obowiązywani ani zmuszeni być nie powinni — od których to robót przedmieszczan wolnymi ogłaszamy, jednak ten szczególny dodajemy warunek, aby magistrat tego miasta, zebranej w ten sposób sumy pieniężnej na inny cel nie obracał, jak tylko na wy-



Ryc. 7. Dawny dworek Jabłońskich, róg ul. św. Antoniego i Kurkowej.

(Rozebrany w r. 1898.)

sypywanie kamieniami drogi publicznej tegoż przedmieścia i naprawianie, ile razy by tego potrzeba wypadła.

Co się zaś tyczy reszty punktów tak pastwiska jak i użytku lasów — postanawiamy, aby każda strona stosowała się do przepisów Dekretów dawniejszych Najmił. króla Stefana, jako też i naszych.

Zaś co się tyczy handlu, tak decydujemy i deklarujemy, aby każdemu rzemieślnikowi sigillatum wolno było kupować jakikolwiek materyał i to tyle, ile mu do wyrobienia i wykonania swego rzemiosła i zarazem wygód wystarcza.

Jednak tak, aby komuś drugiemu tegoż materiału nie zużytkowanego nie sprzedał, chociażby to na swój użytek obracał.

Dopóki wreszcie coś innego pomiędzy temi stronami ze względu na handel w czasie dogodniejszym nie postanowimy i nie zadecydujemy na podstawie Dekretu naszego. Na wiarę tej sprawy pieczęć królestwa do obecnego Dekretu jest przyłączona.

Dano w Warszawie w sobotę przed niedzielą *Indica prosimo* roku pańskiego 1614. — Panowania naszego w Polsce 27-go Roku — a w Szwecyi 21-go Roku. Feliks Kryski m. p. Kanclerz koronny. Jan Oktawian Waclawowicz“.



Ryc. 8. Typowy dom ze szczytowym frontem w ul. Ubocz (Łyczaków).

Przywilej królewski uszanował i rząd zaborczy i późniejsze magistraty lwowskie, pozostawiając Łyczakowian w spokojnem posiadaniu gruntu na Pasiekach. Gospodarka jednak onym majątkiem „halickich przedmieszczan“ była tego rodzaju, że przynosiła jedynie korzyść zarządzającym nim jednostkom, ale nie ogółowi. Bywało nawet i tak czasem, że kazano płacić przedmieszczanom za glinę lub piasek, na tym gruncie brane, choć to wspólną było własnością. Na obszernem zaś kilkunastomorgowem pastwisku wojskowość swe odbywała ćwiczenia, ze szkodą dla właścicieli. Stosunki zmieniły się radykalnie od r. 1881, gdy gospodarka „majątkiem łyczakowskim“ przeszła w ręce obywatela Adolfa Podłowskiego. Ten zabrał się do pracy energicznie;

plac ćwiczeń wydzierżawiono wojskowości za 622 K. rocznie, wynajmuje się pastwiska i grunta, a dochód z tego idzie na cele dobroczynne i publiczne. Z funduszu stąd uciulanego obrócono 11.000 K. na odbudowę wzmiankowanej wyżej kaplicy. Tak więc nie marnieje dalej majątek, będący pamiątką po królach polskich.

Przedmieszczanie nie brali cudzego i swego nie oddali łatwo, a nie mając w sercu zawziętości, bawili się, gdy okazy się po temu nadarzała. Urządzano sobie codziennie muzyki na harmoniach, ba, czasem nawet na pokrywkach blaszanych, gdy nie było innego pod ręką instrumentu. W czasie od Bożego Narodzenia do Gromniczej młodzi przebierali się za kolędników z nieodłącznym „toruniem“ t. j. baranem, żydem, ułanem, huzarem, pastuchem, laufrem i t. d. Chadzano również z „wertepą“ t. j. szopą, ale tylko do znajomych; z biegiem lat wzięło się do tego procederu i przedmiejskie tałałajstwo, aż kolędnictwo spowszedniało zupełnie.

W ostatni wtorek odbywało się w „Hotelu de Laus“ chowanie do grobu basa. O północy zbierali się obywatele i obywatelki na zabawę. Z kuflami piwa lub kieliszkami wódki obchodzono pochodem procesyjnym cały lokal, poczem otwierano szynkwasy i wkładano węń basetle, przy czem wypowiadano komiczne — no i tłuste mowy pogrzebowe. Stypa pogrzebowa trwała aż do rana; płasano nawet przy muzyce, ale bez basetli...

Charakterystycznie odbywały się pogrzeby dzieci. W dzień pogrzebu przybywało czterech drużbów, jeśli małe dziecię było dziewczyną, albo cztery druchny, jeśli chłopakiem. Ustrojeni w bukiety, brali trumienkę na chustki, których końce trzymali, a chwiejąc trumienką u progu domostwa, wypowiadali trzykrotnie następującą formułę: „Dziękuję ci panie ojeze, dziękuję ci pani matko za wychowanie“. — Poczem udawano się na mogiłki, czyli po Łyczakowsku popularnie mówiąc: „na piaski“. Po powrocie oczywiście musiała być stypa, bo inaczej zmarły nie miałby spokoju na tamtym świecie.

A jeszcze jedną osobliwość miał górny Łyczaków, ale to już było za rogatką. Była to t. zw. „dziadownia“ czyli dziadowska gospoda, leżąca już na terytorium Krzywczyc. Tam złazili się

dziady z całej dzielnicy, a mieszkając razem i wspólne prowadząc życie, tworzyli coś w rodzaju dziadowskiej republiki, nie niepokojonej przez lwowską policję za roгатką. Gdy jednak orgie dziadowskie poczęły przechodzić dozwoloną miarę, przepędzono ich z Łyczakowa i porozłazili się po innych dzielnicach, głównie w stronę północną.



Ryc. 9. Ostatnia wiejska ulica we Lwowie, (ulica Henninga).

Szkic niniejszy do dziejów górnego Łyczakowa nie byłby zupełnym, gdybym nie wspomniał jeszcze o paru indywidualnościach, temu przedmieściu przed pół wiekiem właściwych, zanim się i przedmieszczanstwo nie skosmopolizowało.

Strój mężczyzn w dniu powszednie składał się w lecie z krótkiego spencera, spodni do butów z cholewami wyso-

kiemi i twardemi, z granatowej kamizelki, chustki na szyję i czapki (sadelka) z daszkiem. Strój ten uzupełniała wystająca z kieszeni chustka kolorowa do nosa. W dniu świąteczne kładli Łyczakowianie na siebie granatową kapotę i konfederatkę, a niekiedy cylinder. Zimą noszono kożuszek barani, krótki lub długi.

Kobiety wiązały głowy uczesane gładko, chustką. Nosiły dostatnie katanki wełniane, parę krochmalnych spodnic i chustkę na ramionach — no i korale, niekiedy do 500 guldenów wartości. Dziewczęta nosiły się tak samo, z tym wyjątkiem, że nie miały głowy chustką przykrywanej, lecz spuszczały warkocze, a we włosy wpinały kwiatki. Dziewoje to były rosłe, tęgie, rumiane i zamaszyste, a odważne, i gdy jakiemu natrętowi przyklepała ręka dziewczuchy łyczakowskiej, to mucha tam na tem miejscu długo nie siadła.

Dla złagodzenia obyczajów i ogłady towarzyskiej nie mogła dopomódz jedyna szkoła trywialna trzyklasowa im. św. Antoniego, tem więcej, że zaledwie $\frac{1}{4}$ dzieci do niej uczęszczała, a $\frac{3}{4}$ było zupełnych analfabetów, pilnujących domu, młodziej dziatwy i — koni lub bydła. W dodatku jedynym w owe czasy środkiem pedagogicznym była trzcina lub karteczka „cenzora“, za którą brało się od 5—10-ciu plag bez względu na płeć dziecka. Nic dziwnego, że czyto chłopiec, czy dziewczyna, czekali z utęsknieniem, rychło ukończą „trywialkę“ i albo zostaną w domu do pomocy rodzicom w gospodarstwie, lub też pójdą „na mularkę“ zarabiać samoistnie, a równocześnie uzyskają uzdolnienie do rzemiosła, które było w regule złączone z rzeźnictwem lub nawet i krupiarstwem, choć to już rzadziej bywało. Krupiarze bowiem tworzyli rodzaj arystokracji łyczakowskiej.

Wśród tej tedy „arystokracji“ nie było awanturników; za to z tamtych murarzy lub rzeźników wychodziły figury, będące postrachem nie tylko zabłąkanych na Łyczaków intruzów z miasta, ale samych mieszkańców przedmieścia. Górny Łyczaków do dziś jeszcze przekazał pamięć tych paru junaków, którzy się szczególnie odznaczyli swym „temperamentem“, nie mającym nic wspólnego z bandytyzmem n. p. kleparowskim lub zamarstynowskim. Była to swego rodzaju rycerskość łyczakowska, nic więcej.

Prym w tem gronie trzymał długie lata murarz Kuba Pelc. Nie było okazyi, żeby kogo ognisty Kuba nie pobił. Pewnej niedzieli, jakoś przed rokiem 1848, podczas zabawy w karczynie za Łyczakowską rogatką, zwanej „babski korzeń“, powrzucał do studni głową na dół jednego po drugim 9 grenadjerów, chłopów na schwał, roślących, którzy — przeważnie Rusini — „odznaczyli“ się w czasie Hamersteinowskiej bombardacyi Lwowa.

Ów straszny Kuba nie miał wcale wyglądu Herkulesa: wzrostu był średniego, przysadzistej budowy ciała; łagodny zresztą był, póki sobie nie podpił. Wtedy ledwie podrażniony, dobywał ze siebie ryk, niby lew zraniony i bił, co pod rękę podpadło. Kiedy w sobotę wracał wieczorem po wypłacie na Łyczaków, a koło św. Piotra ryknął sobie swoje „enium!“ słyszano go za rogatką i... ustępowano z daleka z drogi, gdy kto chciał mieć całe gnaty, lub łeb nierozbity.

Ale jak w Rzymie król gaju Nemoreńskiego panował tak długo, póki go kto silniejszy nie zmógł, tak samo i na Łyczakowie górnym straszny był junak tak długo, póki go drugi nie pobił. Tak było i z Kubą Pelcem. Lata wojował, aż go w czasie jednej uroczystej zabawy zmógł i pobił Kasper Smoleński. Od tego dnia Pelc poszedł w odstawkę, chociaż Smoleński długo nie wydzierzył berła „króla Łyczakowa“. Natrafił na swego w osobie rzeźnika Antoniego Pleciono, który przez lat kilkanaście rej wodził niepodzielnie w zawadyackich na Łyczakowie rozprawach.

Gdy nadchodził czas rekrutacyi, lub gdy po jakiejś krwawej awanturze następowała policya na pięty Plecionowi, umykał tenże do Rosyi, gdzie spełniał rodzaj agentury w handlu wieprzami. Kiedy sprawa poszła w zapomnienie, zjawiał się znowu na górnym Łyczakowie, na postrach głównie strażników skarbowych, pełniących w owe czasy służbę na rogatkach Lwowa. Był bowiem Plecion i przemytnikiem — z amatorstwa. W czasie przemycania pewnego razu cieląt z Krzywczyc, gdy go strażnicy chcieli przytrzymać, połamał im karabiny i pobił „rewizorów“ dotkliwie. Jeden jednakże bagnetem przebił Plecionowi udo na wylot i zuchwały junak parę miesięcy leżał w szpitalu, zanim się wyleczył do tyła, by umknąć do Besarabii, tym razem na czas dłuższy.

Ostatnim czynem Pleciona było pobicie dwu policyantów, poczem ze dwa lata przesiedział się w Rosyi. Gdy wrócił stamtąd do Lwowa, natrafił na niejakiego Gr ün e r a, rzeźnika, który go formalnie zmasakrował w bójce. Ów Gr ün e r był to człek szalonej odwagi; drzwi rozbić głową, było dla niego niczem, a atletów z „rajteraj“, jak pod owe czasy we Lwowie cyrki nazywano, kładł jednego po drugim.

Poczet ten Łyczakowskich awanturników zamykali: rzeźnik Teofil Berliński i Tomasz Iwa nowski, murarz. Niejednemu obcemu przedmieszczaninowi napędzili oni strachu i guzów. Taktyką ich wojenną było wpadać w środek większego zebrania, które im nawet często okazy do awantury nie dawało. Gdy zrobili zamieszanie, bili dokoła, kogo dopadli, i nim tamci mieli sposobność ochłonąć i pojąć co się stało, kłaniali się figlarnie i odchodzili, jakoby nic nie zaszło.

Jeszcze jeden godny zanotowania szczegół, przypominający coś w rodzaju Radziwiłłowskich figlów. Czyto dla fantazyi, czy dla pewnego rodzaju ekspiacyi za burdy, mieli niektórzy gospodarze zwyczaj sprawiać fetę dla dziadów. W oznaczonym dniu zabito wieprza, narobiono kiszek i kielbas, nagotowano kapusty i sprowadzano zapas wódki i piwa. Do stołu zwieziono 12-tu dziadów, albo z ulicy, albo z domu ubogich i fetowano ich, przyczem gospodarz sam usługiwał do stołu. Po paru godzinach takiej uczty ze łbów dobrze się kurzyło, a nogi wypowiadały posłuszeństwo; to też dziadostwo pokotem leżało na podłodze, popite i chrapiące, ku wielkiej ucieście gospodarstwa.

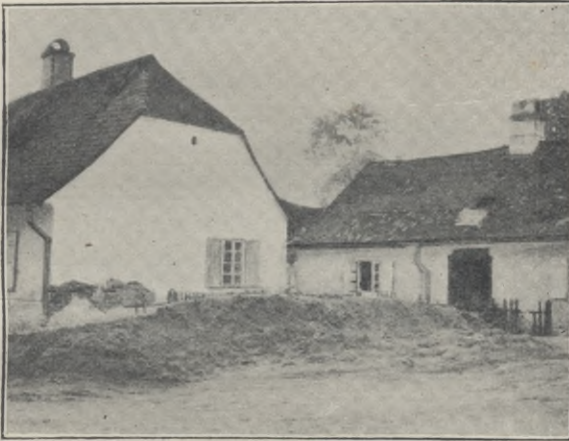
Tak to żyli i bawili się przed pół wiekiem na górnym Łyczakowie. Zmieniły się czasy i zmienili się ludzie. Miejsce „dyabelskiego młyna“ na Łyczakowskiej debrze zajął park Łyczakowski z pomnikiem Głowackiego, a już nawet daleko za rogatkę wyciąga swe ramiona cywilizacya — i ciężka walka o byt i o codzienny kawałek chleba, który przedmieszczanom przed pół wiekiem daleko łatwiej i dostatniej przychodził.

*

*

*

Rodzajem enklawy do przedmieścia Łyczakowskiego, bo przedzielona jedynie t. zw. Łysą Górą, była ul. św. Wojciecha i okolica Wysokiego Zamku pod Kopcem przy ul. Teatyńskiej. Okolica ta nie używała do niedawna jeszcze dobrej sławy, głównie z powodu osiedlonych tamże cyganów, którzy przed dziesiątkami lat zaczęli o Lwów, by się w nim zaaklimatyzować. Magistrat lwowski niechętnem patrzył okiem na usiłowane próby osiedlenia się potomków Indów z nad Gangesu i czemprowadz transportował ich dalej; były jednak czasy, gdzie władze miejskie



Ryc. 10. Stare domki w ulicy św. Wojciecha.

były mniej surowe i na utrapienie mieszkańców Lwowa nie miały nic przeciw „uobywateleniu“ cyganów.

Na osady takie wyznaczono im jary pod Wysokim Zamkiem, tuż pod obecnym Kopcem „Unii“ od strony ulicy Teatyńskiej, oraz ulicę św. Wojciecha. Gospodarka nowych „obywateli“ rozpoczęła się istotnie po cygańsku. Pozakładali wprawdzie kuźnie, gdzie robili podkowy, a szczególnie haki i gwoździe, zasilając wyrobem tym przeważnie blacharzy do robót dachowych, ale rzemiosło wrodzone: przywłaszczanie sobie cudzych rzeczy, uprawiali z daleko większym zamiłowaniem.

Wobec takich warunków, bezpieczeństwo własności przedmieszczan sąsiadujących z cyganami stało się bardzo problematycznym, a zdarzało się też więcej jak często, że przechód przez wspomniane ulice po zachodzie słońca stawał się niebezpiecznym dla spacerowiczów z miasta.

Cygańscy mieszkańcy ulicy św. Wojciecha i z pod Zamku, jako osiedli między gęściejszym zaludnieniem, a wskutek tego stykając się częściej z przedmieszczanami, zatracali powoli swój charakter cygański, jakkolwiek zupełnie wszystkich cech się nie pozbyli. Dowodów na to dostarczyłyby dość registratury lwowskich sądów karnych.

Najsmutniejszą jednak przeszłość miała samotna osada cygańska tuż pod Kopcem, nie istniejąca już od lat kilkadziesiątu.

Na miejscu, gdzie stała ta osada, a raczej tylko kuźnia cygańska, jest dziś wygodna droga, wysadzona drzewami, a po obu jej stronach trawniki, zieloną trawą zasiane, zapraszają do wygodnego spoczynku na nich.

Przed laty jednak, o czym zapewne niewielu pamięta, był w tem miejscu jar głęboki i dzikie pustkowie. Początkowo kopano tu kamienie, a gdy się ich zapas wyczerpywał i nie opłacał już więcej kosztów wydobywania, jar zostawiono i nic już nie ożywiało tego miejsca, prócz samotnej kuźni.

Miejsce to było tak dzikie i straszne, że nawet w dzień unikano go, a dzieci igrające pod Zamkiem, zapędziwszy się czasem w te strony, uciekały czempredzej z obawy przed „cyganami“. Czem zasłużyli sobie mieszkańcy kuźni na taką reputację, nie trudno odgadnąć, ze względu na wyżej opisane ich nałogi.

Do okropnego wyglądu tego jaru przyczyniała się nie mała i ta okoliczność, że wyrzucano tam padlinę wszelkiego rodzaju z okolicy, tak, że powietrze w dnie letnie było tu nie do zniesienia. Sąsiedztwo jednak tego cmentarza bydłowego nie szkodziło wcale mieszkańcom samotnej kuźni.

Kuźnię właściciele opuścili, przenieśli się do miasta, na niecygańskie mieszkanie, a tysiące fur śmiecia z kamienic lwowskich i rumowiska posłużyły do zasypania straszego jaru i wyrównania gruntu dla założenia w tem miejscu wygodnej drogi na Zamek.

Jeżeli już jesteśmy w tej okolicy, nie możemy pominąć milczeniem studni, która również do niedawna jeszcze smutną cieszyła się sławą. Studnię tę, ze względu na przeszłość jej, można było śmiało nazwać „studnią samobójców“.

Nieco dalej w górę od ulicy Teatyńskiej wiała się przed niebardzo dawnymi jeszcze czasy stroma, wązka ścieżyna, prowadząca właśnie do wspomnianego kamieniołomu. Służyła ona prawie tylko dla mieszkańców samotnej kuźni i dla innych podejrzanych indywiduów, szukających w jarze noclegu lub schroniska.

Przy owej to ścieżynie stała ta studnia, licho ocembrowana, bardzo głęboka, z której *antiquo modo*, zapomocą koła wiadrami wodę dobywano.

Studnia ta, właśnie może dlatego, że stała na pustkowiu, miała coś pociągającego dla ludzi, chcących wziąć rozbrat z życiem, a bojących się stryczka lub kuli pistoletu. Niepodobna oznaczyć daty, kiedy znaleziono w niej pierwszego samobójcę; faktem jest jednak, że znajdowano ich stosunkowo dość często, a co do niektórych miewano nawet podejrzenia, jak świadczyły ślady, że niekoniecznie targnęli się sami na swe życie...

Studnię ostatecznie zasypano i niema śladu już po niej. Wraz ze sąsiadką swą — kuźnią cygańską w jarze — znalazła może jedyne wspomnienie w niniejszej notatce.

IV.

Bajki.

Ave, morituri te salutant! — mogą śmiało powiedzieć mieszczuchowi lwowskiemu (jeśliby oczywiście po łacinie umieli się wyrażać) obywatele bajeccy, tulący jeszcze swe lary i penaty w okolicy gipsarni p. Franza i w ulicy Błotnej; tam bowiem pozostały wyparte przez cywilizacyjną parcelację resztki przedmieścia, zwanego ongi Bajkami, słynącego z bajecznego istic błota i bezpieczeństwa także bajecznego. Najmłodsze pokolenie, gdy dorośnie i tramwajem elektrycznym posunie aż ku Kulparkowskim błoniom, ani się może domyśli, że przed niewielu dziesiątkami lat była tu prawdziwie wiejska idylla, z niskimi chatynkami, często strzechą pokrytymi, z płotami z gęstych krzewów. Od wpływów cywilizacji chroniły Bajki jak naturalną fortecę z jednej strony stawy wuleckie i rozległe moczary, z drugiej cmentarz gródecki; od tyłu błotniste łąki Kulparkowskie, „gdzie dyabeł dobranoc powiedział“, a od strony Maryi Magdaleny rozległy i nieprzystępny folwark dominikański. Nic dziwnego, że mogła się tam urodzić piosenka o „Magdalankach“ (tak się zwały w swej gwarze Bajczanki):

„Za górami za lasami
Tańcowała Magdalanka z kozakami...“

W tamtych bowiem okolicach obozowali w r. 1849 kozacy rosyjscy, spieszący Austrii z pomocą na zgniecenie węgierskiego powstania. Piosenka ta, to może ostatnia pamiątka po „Magdalankach“; zniknęły one dawno z widowni,

a ich potomstwo przekształciło się zupełnie pod wpływem cywilizacji — i pieniędzy, za grunta pod parcelację wzięte.

Pionierami Bajek, tego prawdziwego *Far Westu* Lwowa, byli: niepokąźny na oko człowieczek, a wielce przedsiębiorczy p. prof. architektury Jan Lewiński i ś. p. Zachariewicz. Oni to pierwsi, niby traperzy amerykańscy, zapuścili się w przedmieście bajeckie i stworzyli Kastelówkę, a z nią nowe drogi do parcelacji. I oto ledwie 20 lat minęło, a na gruzach (*sit venia verbo*) Bajek stanęło niemal nowe miasto, nawiasem mówiąc, ładniejsze od rodzimego Lwowa. I po pewnym czasie, gdy pp. Zachariewicz i Lewiński od wschodu wrzynali się w Bajki, od zachodu zabawił się w pioniera p. Franz. Tak we dwa ognie wzięci Bajczanie nie wytrzymali naporu i sprzedając dobrze grunta, znikają lub zniknęli. Śnać obcy im lokalny patriotyzm, jakim się Łyczakowianie odznaczają. Ci ostatni po wielu rozpaczliwych wysiłkach z biedą, Bajczanie z lekkim sercem, na dźwięk koron pozbywają się ojcowizny. Nie mieli tradycji, jak tamci... Ale dajmy pokój refleksyjom. Słusznie powiada Mefisto:

„Cielec złoty dziś rządzi rad,
Wszyscy kadzą przed tą władzą,
Jak długi i szeroki świat...”

Dążenie do „korony“ czyto na głowie, czy w kieszeni, było od początku świata ambicją ludzi, i o zmianę tego stanu nawet kusić się nie warto.

Wracam tedy w myśli na Bajki z przed lat czterdziestu... Jak Łyczakowscy mężowie „bawili się“ rzeźnictwem, a ich kobiety krupiarstwem, tak znowu Bajczanie chadzali głównie „na mularkę“, a kobiety sprzedawały ogrodowiznę na rynku i lwowskich targach. Pomimo tak zasadniczo sprzecznych zawodów, dziwnym trafem najczęściej kojarzyły się małżeństwa między Łyczakowem a Bajkami, — bo Bajczanki słynęły urodą i zdrowiem, dzięki sielskiemu charakterowi swego przedmieścia. Były też z nich dobre żony i dobre matki, co stwierdza wielu dobrych obywateli bajeckiego pochodzenia.

Janowskie.

Janowskie przedmieście nie miało nigdy dobrej sławy. Od awanturników aż się tamże roilo, a niestety archiwa lwowskich sądów karnych mogłyby wiele o nich powiedzieć. Nie było tajemem, że część bandy słynnego niegdyś opryszka Neczyporowicza na Janowskiem miała swoją siedzibę. Bliskość lasu Biłohorszczy i błonia, oraz debry na gruntach t. z. Pilichowskich, ciągnące się nieprzerwanie aż ku Kortumówce i Kleparowu, stanowiły znakomite kryjówki bandyckie, a zarazem utrudniały pościg za rabusia-



Ryc. 11. Stary pałacyk w ulicy Janowskiej.

mi i awanturnikami. Wszak żywo stoi jeszcze w pamięci napad przed laty 30-tu na dom akcyzowy przy rogatce janowskiej, a także straszny pożar siana przed rogatką, gdzie kilkudziesięciu tych włóczęgów życie postradało.

Lewa strona przedmieścia była zresztą martwa od czasu, gdy na niej pobudowano gmachy wojskowe. Po prawej ostatnim etapem „Europy“ był młyn parowy Thoma; poza nim już małe dworki i domki; wśród nich resztki dworku, podobno nie raz przebudowane, gdzie Łoziński przedstawił epizod powieści „Żółty generał“. Oprócz dwu lub trzech domków, gdzie jeszcze są ślady stylowych okien,

dziś próżnoby było szukać w tej ulicy resztek dawnego gościńca, zaczynającego się pierwotnie od kościoła św. Anny, a wiodącego na Janów, Jarosław, ku Krakowu.

Na wzmiankę przy tej ulicy, ostatniej, na którą zawiózł cywilizację tramwaj elektryczny, zasługuje jeszcze staw Hel-lenbrandów, gdzie z reguły co roku, dla braku wszelkiego dozoru, musiał się ktoś z kąpiących utopić. Staw zresztą istnieje do dziś, jako zaniedbane, zapuszczone bagnisko.

Kleparów.

Sąsiadujący z Janowskiem bezpośrednio Kleparów, sławny dawniej czerechami kleparowskiemi, jest raczej wsią, niż przedmieściem, i był nią takim samym przed pół wiekiem. Pod względem zachowania się przeciętnego Kleparowianina niema różnicy w porównaniu z jego sąsiadem z Janowskiego. Zajęciem tych przedmieszczan dawniej było ogrodnictwo i sadownictwo; od dawna porzucili je dla korzystniejszej, — jak sądzą — „mularki“. Co prawda, kolej i łatwość dowozu wszelkiego rodzaju produktów warzywnych i owoców stanowią dla tych przedmieszczan niedającą się niczem zwalczyć konkurencyę.

Zresztą przy omawianiu przedmieścia Żółkiewskiego będziemy mieli sposobność wskazać, co właściwie wpłynęło na pewną deprawacyę północno-zachodniej i północnej strony Lwowa. Z góry zastrzegamy się, że jesteśmy pod względem wykazywania przyczyn zupełnie przedmiotowi.

Zielone i Stryjskie.

Jako część ogromnie przed wiekami rozległego przedmieścia Halickiego, nie odgrywało Zielone nigdy wybitniejszej roli we Lwowie i jego życiu. Martwa to była dzielnica i jedynie obszerne podwórza zajezdne przy niektórych domach wskazują do dziś jeszcze, że ulica ta była niegdyś jednym z traktów (do Rohatyna, Stanisławowa, Kołomyi i dalej na Wschód). Z dawnych podmiejskich dworców magnackich stoją do dziś jeszcze pałacyki Zamoyskich i Dzieduszyckich.

To samo da się powiedzieć o Stryjskiem, dziś do niepoznania zmienionem od czasu wystawy w r. 1894.

V.

Żółkiewskie.

Przedmieście Żółkiewskie, ów ogromny obszar, zamknięty z jednej strony ulicami Szpitalną i Źródlaną, z drugiej górą Zamkową i debrami pod Łysą Górą i Kiselką, a od południa placami Gołuchowskiego i Krakowskim, nosiło na sobie od wieków cechy wybitnie żydowskie i jeżeli zważymy, że na tem miejscu rozsiedli się Żydzi już od XIV. stulecia, a nawet dawno przed zajęciem Czerwonej Rusi przez Kazimierza Wielkiego, to dziwić się istotnie należy, że tylkrotne napady tatarskie, kozackie i tureckie nie stały bez śladu tego przedmieścia, bądź co bądź niczem nie ufortyfikowanego, a zupełnie po miejsku i gęsto zabudowanego. Jest to tem dziwniejsze, że inne przedmieścia, a w szczególności Halickie, niemal przy każdym najeździe padały ofiarą ognia, rzezi i jasyru.

Tajemnicę tej pewnego rodzaju samoochrony wyjawi zapewne kiedyś jakiś historyk miasta Lwowa. Wygląd tej dzielnicy prawie że nie zmienił się w ciągu pół wieku, chyba, że gdzieś tam miejsce małych domów zajęły kamienice, nawiasem mówiąc — brudne jak i ich poprzedniczki. Dzielnica to handlowa, jak dawniej; z małą zmianą obyczaje w niej, im dalej na przedmieście, tem gorsze, jak n. p. na Zamarstynowie.

Dr. Majer Balaban w swem znakomitem dziele: „Żydzi lwowscy na przełomie XVI. i XVII. w.“ tak pisze o tem przedmieściu:

„Mieszkali tu żydzi luzem między chrześcijanami; tu też mieszkały szumowiny społeczeństwa żydowskiego, jak

koniokrady, zbóje i różnego rodzaju zawałidrogi, tego rodzaju, jak chrześcijański mob na gliniańskim szlaku. Tutaj mieszkał ów sławny zbój Dawid, zwany Konfederat; zebrał on całą bandę zbójów sobie podobnych w rodzaj konfederacyi i rozbijał przejezdnych na drodze ku Glinianom w lesie pod Biłką.

Tutaj też mieszkali owi słynni rozbijacze: Abraham Dankowicz i Heszal Juško, którzy byli postrachem przedmieścia i 2. maja 1591 r. do spółki z Ickiem z Lublina zamordowali w biały dzień żyda Szymona Salomonowicza.

Oto obraz, który chyba w dzisiejszych czasach o jeden kilometr dalej należałoby przesunąć...



Ryc. 12. Stare domki w ulicy Zielonej l. 51 i 53, poprzedzielane waziutkami i uliczkami (dach środkowego dwa razy większy od domu).

(Rozebrane w jesieni r. 1909.)

Jak żyd z gminy miejskiej niechętnie idzie na przedmieście Krakowskie, chyba w handlowym interesie, tak samo robi to przeciętny mieszkaniec Lwowa. Tem się dzieje, że wielka część t. zw. „lepszej“ lwowskiej publiczności nie zna specjalnych właściwości tego przedmieścia, leżącego tuż pod bokiem śródmieścia, a tak bardzo dlań obcego. Charakterystyką tego przedmieścia było i jest przedewszystkiem lwowskie „Gheto“. Leży ono, jak mówiliśmy, tuż obok śródmieścia, a zna go doskonale przedewszystkiem ten *plebs*, który dla braku środków znajduje na t. zw. ulicy Smoczej (*nomen omen*) cały przyrodziewek za tanie pieniądze.

Wszelkie rzeczy „przechodzone“, jakie handełesi skupują po różnych domach miasta i przedmieść, mają tu i miały swoje stacye zakupu i sprzedaży.

Niepoślednią rolę, jako artykuł sprzedaży, odgrywa tu obuwie stare, które sprzedający umieją w przedziwny sposób preparować, aby zakryć dziury i popękana skórę i nadać bucikowi pozór wcale jeszcze porządnie wyglądającego towaru.

Zwykle tak sprzedający tandeciarz, jak i kupujący, nie szcędzą sobie wcale komplementów przy transakcyach i często słyszeć można następujący dyalog:

— Ile dać za te buciki?

— Tak, aby sze długo ne targowacz — da panicz dwa ryńskie!

— Dam sześcdziesiąt centów.....

— Co paniczu gada! czy paniczu zwaryował — takie buczyki za sześcdziesiąt grejcary...

— Ouwa! za dwa ryńskie dostanę u Medlinga nowe.

— Nu niegh paniczu idzie do Medlinga — co paniczu wie; te buczyki noszył ten hrabia od Jezuickie ulice — na moje sumienie.

Argument taki trafia zwykle do przekonania kupującego, który podwyższa cenę kupna do guldena, poczem przybicie dłonią świadczy, że targ ukończony.

W ten sposób zbywają się wszystkie artykuły.

Drugą specjalnością lwowskiego Gheta są t. zw. „Opałki“. Dziela się one na dwie części. W pierwszej, na straganach rozłożonych nad brzegami już stanowczo w tem miejscu niewonnej Pełtwi, rozłożyli się przekupnie z różnorodnemi materyami na suknie i bielizną, chustkami i t. d. Tu zaopatrują się w materye przeważnie sługi i gospodynie z przedmieścia. Nikt tu nie pyta o markę fabryczną lub o modę; co jeno tanie, to dobre, byle ile możności jak najwięcej na cenie utargować — bo bieda po jednej i po drugiej stronie.

Druga część „Opałek“ obywa się bez straganów, towar bowiem nie opłaciłby kosztów lokalu i urzędzenia.

Na rozciągniętej na bruku brudnej płachcie oko przechodnia znajdzie najróżnorodniejsze rupiecie, jakie handełesy na licytacyach po zmarłych zakupują. Za bezcen można tu

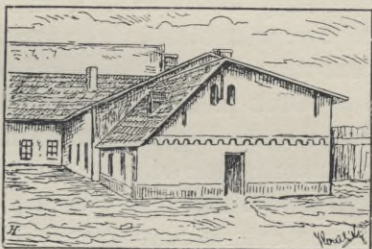
nabyć różnych przedmiotów galanteryjnych „przechodzonych” — jak nazywa przeciętny lwowski ludek.

Prócz tego zakupowane hurtem, wyszły przed wielu laty z mody artykuły mają tu także swój rynek zbytu. I tak dostać można tuzin kołnierzyków i mankietów za 25 ct., albo parę rękawiczek fioletowych lub purpurowych za 10 ct., notabene skórkowych *glacé*.

W zakamarkach domów tego Gheta nieobeznany zagubiłby się łatwo, a niewykluczone jest spadnięcie gdzie ze spróchniałych schodów, lub wpadnięcie w dół kloaczny, pokryty przegniłą deską.

Niedługo przy sprzyjających warunkach runą zapewne brudne i cuchnące uliczki Gheta i ich miejsce zastąpią wówczas piękne stylowe fasady kamienic; toż i dzielnica ta przejdzie do historii, gdzie mieć będzie wcale niepiękną kartę.

Dalszą, także dawniej tego przedmieścia specjalnością, to w popularnej gwarze zwana „pod sikawką” garkuchnia pod gołym niebem. Dlaczego nazywała się „pod sikawką”, to rzecz nader trudna do zba-



Ryc. 13.

Dawny dom zajezdny w ulicy Zielonej górnej.

dania i widocznie nazwa to czysto lokalna. Dziś w dobie rozwijającej się czem raz więcej filantropii, kuchni ludowych i t. p. instytucyi, taka kuchnia pod gołym niebem byłaby czemś nie na miejscu. Inaczej było przed laty, bo ostatecznie zawsze byli na świecie biedacy, którzy mimo ciężkiej pracy nie mogli sobie pozwolić na droższe obiady, jak po kilka centów. Byli i są to tragarze, wodonosy, posługacze dzienni, ludzie czekający na jakikolwiek zarobek, nie przenoszący dziennie korony.

Na wschodniej stronie placu „Rybiego” dawniej, a dziś „Starego Rynku” widzieć było można codziennie około godziny 11. przed południem kobiety z ogromnymi tłumokami na plecach, dążące od strony Sieniawszczyzny.

Po chwili zajmowała każda swe miejsce na placu, podścielała na bruku starą weretę, następnie z tłumoków uka-

zywały się ogromne garnki z szarej gliny, poobwijane grubą warstwą szmat, aby jadło nie wystygło.

Obok tych garnków stawiała korpulentna traktyerniczka stos glinianych misek i kładła także stos łyżek drewnianych, w szaflik duży naczepała wody z pobliskiej studni dla mycia misek, następnie siadłszy na stołku, dominującym nad garnkami, ujmywała warzuchew w rękę, gotowa już do stoczenia codziennej kampanii z żołądkami proletaryuszy, niewybrednych ani w doborze, ani w smaku jadła i dbających jedynie o ilość. To też wzrok biedaków głodnych bardziej zapuszczał się w badanie głębokości miseczki, niż w jakość podawanej im potrawy.

Menu tej ruchomej traktyerni składało się zwyczajnie z czterech potraw: z barszczu, z kapuśniaku, z kartofli i z kaszy hreczanej, a w dni niedzielne lub świąt z pierogów: wszystko to okraszone wedle możliwości sadłem wieprzowem i względnie dość czysto przyrządzone.

Otóż p. „Marcinowa“ lub „Antoniowa“ czekała na gości. Po chwili poczynały sznurkiem ciągnąć postacie w łachmanach, poobwiązane sznurami, jedynymi narzędziami ich pracy. Każda z tych egzystencyi wtykała pani traktyernicze cztery centy w rękę.

Pani „Marcinowa“, popatrzywszy przedewszystkiem, czy „czwórak“ nie jest przypadkiem fałszywy lub starty, chwyciła go do skórzanego worka pod fartuchem, poczem zagłębiała warzuchew raz i drugi, i po chwili podawała gościowi dwie miski dymiącego jadła. O stole i o nakryciu mowy naturalnie nie było.

Jeżeli gości było dwu lub trzech tylko, pani traktyerniczka miała ich jeszcze na czem posadzić, jeżeli natomiast więcej o jednej porze przyszło, bruk zastępował stół i krzesło. Gość siadał z turecka na ziemi i zmiatał obiad, aż mu się — jak to powiadają — uszy trzęsły. Panie traktyernice, mimo bajecznie taniej ceny obiadów, dochodziły prawie zawsze do grosza, uciulanego na czarną godzinę.

Wielce oryginalną jeszcze specjalnością tego przedmieścia, i to już poza rogatką, na terytorium gminy Zniesienia są w całym tego słowa znaczeniu ludowe kąpiele, ba, nawet *sui generis* lecznicze zakłady, od tak dawna istniejące, jak dawno rafinują wódkę za Żółkiewską rogatką, a więc

mniej więcej od lat 120! Ładny to czas, nieprawdaż, a nie się ani na jotę tam nie zmieniło w tych ludowych kąpielach.

Kiedy przekroczyłeś łaskawy czytelniku roгатkę żółkiewską i puścisz się kilkadziesiąt kroków dalej po wybojach leżącego tuż za roгатką Zniesienia, uderzy cię z pewnością przybity na dwu słupach szyld czerwony lub niebieski, z wymalowaną w najprymitywniejszy sposób wanną drewnianą i siarczasty napis „Kompieł lótrynkowe“ (dosłownie), to znaczy, że się znajdujesz u wrót w całym tego słowa znaczeniu „ludowego“ zakładu kąpielowego.

Jeżeli żyłka obserwacyjna powiedzie cię do wnętrza, musisz przejść przez obszerny dziedziniec, przeskakując przez niezliczone kupy gnoju i śmieci, zanim dostaniesz się do przybytku, skąd uderzy cię w nos nieznośna woń „fuzlu“ wódczanego. Znajdujesz się w lutryнку, zakładzie, przeznaczonym do lutrowania, czyli oczyszczania wódki pitnej.

Ze względu na znaczną ilość wody gorącej, zbywającej przy oczyszczaniu wódki, pozakładali przemysłni żydkowie przy lutrynkach wanienne zakłady kąpielowe, w których lud prosty biedniejszy, za opłatą dziesięciu centów zażywa kąpeli.

Lecniczą ingrediencyą w kąpielach tych, mającą ustaloną między ludem prostym reputację jest anyż, pozostały z przelutrowania wódki. Dwie lub trzy konewki tej przegotowanej substancji, wlanej do kąpeli, mają być cudownym lekiem przeciw wielu chorobom, i w wypadkach wymagających kuracyi ściągającej mogą być lekiem istotnie cudownym.

Pozostawmy jednak panom medykom i biegłym bliższe zastanawianie się nad leczniczą stroną lutrynków — których była dawniej, nawiasem mówiąc, dość spora liczba za roгатką — a odwróćmy medal.

Pominąwszy już wszelkie wymogi sanitarne, jakie nie mają najmniejszego zastosowania w tych ludowych zakładach kąpielowych, oraz brud, z jakim mogłyby tylko walczyć o lepsze żydowskie „mikwy“ małomiasteczkowe, moralna strona ludu cierpi ogromnie skutkiem tych zakładów.

Niema prawie domu za roгатką żółkiewską, gdzieby nie było szynku, odznaczającego się sprzedażą mocnej a taniej wódki.

Otóż biedak idąc do lutryнку celem wzmocnienia ciała, trapionego jakim niedomaganiem, nie ma po kąpieli nic lepszego do roboty, jak upić się porządnie — i to jest właśnie fatalna strona tych kąpieli i kuracyi ludowej...

Powiedzieliśmy, że przedmieście Krakowskie gremialne i gęsto przeważnie jest i było przez żydów zaludnione. Nie idzie za tem, aby i ci ludzie, żyjąc od wieków handlem i ciężką pracą około zdobycia pieniędzy, nie tęsknili przynajmniej raz w roku do świeżego powietrza. Ale ponieważ dzieci Izraela i pod tym względem są praktyczni, więc żydowscy przedmieszczanie szukają wilegiatury w najbliższem swem sąsiedztwie, a więc za rogatką zamarstynowską, lub w graniczącym ze Zamarstynowem Hołosku. Tym sposobem dzieje się, że letnią ludność Zamarstynowa składają żony kupców *minorum gentium* z Krakowskiego lub Żółkiewskiego przedmieścia, buchalterów i starszych subjektów, i wogóle średnio zamożnych żydów przedmiejskich.

O komforcie, ewentualnie jakiegokolwiek wygodzie, mowy tu być nie może. Familie żydowskie, złożone często z sześciorga osób, duszą się często w ciasnych chałupach chłopskich, kilka bowiem domów porządniejszych nie wystarczy na pomieszczenie wszystkich „letników“.

Całe tedy używanie owego „świeżego“ powietrza ogranicza się na siedzeniu całemi godzinami przed domem żydowskiej płci pięknej w najniemożliwszym negliżu z powodu gorąca, lub chodzeniu ociężałym krokiem po skraju lasu.

Sytuacya zmienia się tylko przez dwa dni w tygodniu, mianowicie w wieczór szabasowy, kiedy każdy „kupiec“ po trudach całego tygodnia spieszy na łono używającej powietrza rodziny dla zjedzenia „kugla“, oraz w niedzielę, kiedy wszyscy handlujący czemkolwiek mężowie, przymuszeni odpoczynkiem niedzielnym, nie mają co robić w mieście. Zamarstynów robił i robi wrażenie stacyi klimatycznej. Tylko zamiast kurhauzu, wznosi się przed oczyma „letnika“ obdarta karczma, w której oprócz połamanej huśtawki i najprymitywniejszej kręgielni, żadnej innej zabawy nie znajdziesz.

Przed karczmą plac dla spaceru, zastępujący w chwilach wolnych pastwisko dla krów, koni i t. d.

W niedzielę także i las Hołoska roi się od gruchających par; na gościńcu prowadzącym przez wieś, lub po pastwisku ujrzeć można uganiających na oklep na chłopskiej szkapie elegantów, dodających bodźca piętami hołoskiej Rosynancie. Niekiedy patrząc na takiego sportsmena, stracisz go na chwilę z oczu, jakby w niego piorun trzasnął; tylko tuman kurzu wskazuje ci miejsce, gdzie koń zrzucił z siebie niepotrzebny ciężar.

Takie i tym podobne rozrywki, jak łapanie ryb na wędkę w stawie, gdzie oprócz żab żadna istota rybia nie wieńczy łowów pomyślnym skutkiem, wypełniały czas letnikom, niewiele zresztą wymagającym od przyrody — matki.

* * *

Na tem możemy spokojnie skończyć szkic o przedmieściach lwowskich, takich, jakie one były przed pół wiekiem i jakimi we wielu szczegółach do dziś dnia jeszcze pozostały.

VI.

Ogródki dawnego Lwowa.

W czasie, gdy stary gród Lwa był miastem zamkniętem murami i gdy po dzwonieniu wieczorem na „Anioł Pański“ bramy i furty miejskie zamykano, nie było zwyczajem mieszczan chodzić między łyczków przedmiejskich pod wiechy, gdzie piwo i gorzałkę w przedmiejskich karczmach szynkowano. W samym mieście były bowiem piwnice i browary, gdzie sławetni wieczorami po pracy przesiadywali, o ile który, ceniąc nadewszystko życie domowe, przy swoim własnem ognisku nie siadał nad gąsiorem miodu, albo dzbanem piwa.

Obyczaj ogródków restauracyjnych przyszedł do nas z Zachodu, wraz z urzędnikami Niemcami, którzy Galicyę, nowo oderwaną od macierzy Polski, przyszli na swój sposób cywilizować. Nie upłynęło pół wieku, a zwyczaj ten, jak i wiele innych niemieckich, tak się u nas zaaklimatyzował, że jak grzyby po deszczu powyrastały rozmaite, mniej lub więcej od śródmieścia oddalone miejsca zabawy towarzyskiej, gdzie i pogwarzyć było można z przyjaciółmi i znajomymi i wypić na frasunek jeden lub drugi kufelek. I tak nie tylko miejska intelligencya, ale i ludek przedmiejski, ciężką pracą zajęty cały tydzień przy ziemi lub w warsztatach, kupił się w niedzielę i święta w ogródkach przedmiejskich, których lat temu ze cztery dziesiątki było jeszcze sporo, a wszystkie oczywiście w rękach chrześcijańskich i każde przedmieście miało je dla siebie. Niema ich już obecnie, a miejsce ich zajęły bądźto szeregi kamienic, zastępując dawne, cieniste drzewa, bądź wille prywatne, ładne,

ale pozbawione tego uroku na pół dzikiej przyrody, która i z miasta ściągała mnogie rzesze ze świata urzędniczego i mieszczańskiego, a chcącego wytechnąć po pracy i napełnić płuca świeżem powietrzem. To nawet, co dziś z przyzwyczajenia nazywamy przedmieściem, nie jest niem w ścisłym tego słowa znaczeniu, a właściwe przedmieścia, poza rogatkami się już rozciągające, nie mają ani w części tej cechy odrębnej, jaką miały dawne w obrębie rogatek. Nie zmieniło jedynie swej fizyognomii Żółkiewskie i tz. zabawy „za drągiem“, gdzie zamiast się bawić, plebs lwowski zapija się na umor w zadusznych i smrodliwych spelunkach, gdzie występki, a niekiedy i zbrodnia stały sobie obrały przytułek.

Ponieważ prym pomiędzy przedmieszczanami zawsze trzymał Łyczaków, więc jemu i w tem wspomnieniu należy się pierwsze miejsce. Cywilizacya kończyła się tam równo z kościołem św. Antoniego; dotąd też wieczorami wolno było się bezkarnie zapuszczać lowelasom miejskim, polującym na amory przedmiejskich dziewoi. Od tej też okolicy ciągnął się szereg ogródków, gdzie się bawiło przedmieście stale, a przygodnie i mieszcuchy. Były więc ogródki w browarze Hübnera „Pod gołąbkami“, „u Otawichy“, „Kijaka“, i w dziś jeszcze istniejącym „Hotelu de Laus“. W owe czasy odchodziło tam głównie piwo winnicke i „plucery“ w kamionkach.

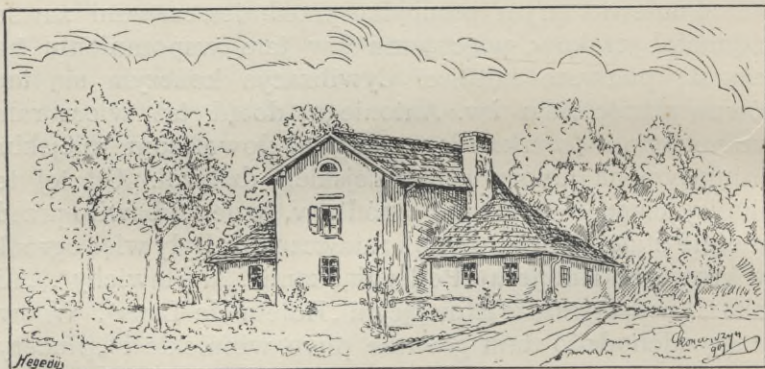
Dla zabawy służyła kręgielnia i huśtawki. Ludziskom to najzupełniej starczyło... Ostatni ogródek był u Weissmana już za rogatką na drodze gliniańskiej. W najbliższem sąsiedztwie Łyczakowa, a więc na „Rurach“ (dziś ul. Kochanowskiego), prócz starej i tradycyi pełnej Pohulanki, za *tusculum* przedmieszczan służył ogródek Makolondry.

Zielone przedmieście, odkąd przestało być jednym z głównych traktów, podupało zupełnie; mieszkali na niem biedacy, którym nie w myśli było bawić się. Nie było tam też i ogródków. Pod tym względem szczęśliwsze było Stryjskie. Były więc ogródki na uroczej „Żelaznej wodzie“ i na Zofiówce u Cieślewiczów i Jaworskiego, nie licząc kilku mniejszych, prawie niedostępnych dla intelligencji z miasta. Wreszcie też nie tyle spirytuozów sprzedawano, ile nabiąłu świeżego i niefałszowanego, o jakim dziś nie mają wyobra-

żenia terażniejsi gospodarze ogródkowi wyznania mojżeszowego.

Nad jednym z takich małych miejsc zabawy, w okolicy dzisiejszej Stillerówki, wyobrażoną była na szyldzie „Opatrzność“ jako godło ogródkowej szynkowni, a pod nią napis: „Ja żyję z Boskiej Opatrzności, niech Bóg da temu, co mi zazdrości“. Jakże to pięknie wyrażone nieobawianie się konkurencyi!...

Po drugiej stronie miasta także bujnie rozrastały się ogródki i miejsca zabawy. W górze ulicy Szerokiej (dziś Kopernika) słynnym był ogród Prochaski, przy browarze tegoż samego właściciela, a jeszcze dalej na Wulce t. zw.



Ryc. 14. Typowy dworek przedmiejski w ogrodzie, z ganeczkiem (front).

(Ul. Zyblikiewicza 1. 8.)

„Kasyno panińskie“. Do tej samej kategorii ogródków zaliczyć należałoby i t. zw. „Hühnergarten“ w dzisiejszej ulicy Gołębiej i Kaleczej, gdzie stoi willa Zacisze.

Ulica Gródecka miała jeden tylko, ale bardzo ładny ogródek „pod różą“, w miejscu, gdzie dziś stoi szereg kamienic, ulicę Bartosza Głowackiego tworzących.

Najsilniej jednak kupił się ludek lwowski około Wysokiego Zamku i to z każdej jego strony. Prawie na stokach góry od strony ulicy Zamkowej był ogród niejakiego Florka, duży i ładny, z drzewami starością równymi całemu zadrzewieniu Góry Zamkowej. Tu oprócz zwyczajnej huśtawki, była i „rosyjska“, sięgająca na kilkanaście

łokci w górę i olbrzymi karuzel z końmi na łańcuchach, — oczywiście drewnianymi. W niedziele i święta roilo się tam od dzieci małych i wielkich, za dwa centy przejeżdżających się „na koniach“. Ogródek ten podupadł, gdy raz na huśtawce rosyjskiej zdarzyło się nieszczęście, że dwie osoby wypadły i śmiertelnie się potłukły; zrobił mu wkońcu konkurencyę karuzel na Wysokim Zamku. Dziś już i śladu nie ma z ogródka Florka; pozostały tylko drzewa stuletnie może.

Na innym stoku Zamkowej Góry, koło zabudowań browaru Kisielki, dziś jeszcze stoi obszerna szopa, z dachem na słupach opartym. W niej w niedziele do późnej nocy



Ryc. 15. Typowy dworek przedmiejski w ogrodzie, z ganeczkiem (tył).

(Ul. Zyblikiewicza l. 8.)

rzępoliła hałaśliwie muzyka, a taneczne pary, ze sług i żołnierzy przeważnie złożone, cięży hołubca, aż grzmiało. Ile tam głów rozbito, ile żeber połamano, ile podarto sukien na tanecznicach, kto zliczy i kto wyśpiewa!

Dziś sterczy szopa tylko, służąca za schronisko ryce-rzom mgły z zarośli Góry Zamkowej, jako wspomnienie wesołych chwil....

Także pod Zamkiem, ale od strony ulicy Teatyńskiej, gdzie była realność Jägermana, było drugie miejsce, zwane szumnie „salą do tańca“. Takie same, jak i po tamtej stronie góry odbywały się tu zabawy i tak samo smutnie się kończyły. Parowy, których miejsce zajęły plantacye, wiodące na Ko-

piec Unii lubelskiej, były świadkami niejednej zbrodni, w cieniach nocy spełnionej.

Zupełnie już blisko miasta, bo w ulicy Kurkowej, gdzie dziś nr. 7. i 9. był ogródek ze salą do tańca niejakiego Türra. Lat temu wiele dziesiątek nazywali go Niemcy „Veteranische Höhle“, a to z tej racji, że jeden z kulturträgerów Veterani zainstalował tam kasyno dla oficerów i beamteryi lwowskiej. Z upadkiem niemieckości we Lwowie upadła i „Jaskinia Weteraniego“ i zeszała na ordynarną żołnierską „tancbudę“, gdzie co niedzieli wycinali hopki dzielni madyarzy i dziewczki służebne. *Sic transit...*

Dziś to wszystko poznikowało; miejsca ogródków dawnych zajęły modne ogródki z „rakami kamiennymi“, szansonistkami lub innymi hecarzami.

Lwów się ucywilizował; wyparł z miasta to, co za mało europejskie, a dobry humor mieszkańców Lwowa, tych uboższych, ustąpił miejsca ogólnej biedzie i strachowi przed mikrobami, którymi zatruwają higieniści każdą jaśniejszą chwilę ludkowi, pragnącemu zabawy na świeżem powietrzu. Nowoczesne miejsca spacerowe przestały być tem, czem były dawniej. Są one dziś jedynie rodzajem salonów na świeżem powietrzu pod niebieskim sklepieniem, dla wystawy strojów, flirtu i t. p. wzajemnego okłamywania się towarzyskiego. A wobec tych nowych prądów anachronizmem są ogródki z sielską poezją, sielskim nabiątem i powrotem do miasta po wyboistej drodze wśród kurzu, na który nikt nie zważał.

VII.

Galerya zaginionych lwowskich oryginałów.

Każde miasto ma swe odrębne właściwości, ma też i swoje oryginalne typy, jakich się gdzieindziej nie znajduje; ma swe rozmaite figury brukowe, tak popularne z biegiem lat, że sława ich — *sui generis* — nie tylko z pokolenia na pokolenie, ale i do tradycyi przejdzie, a nawet niekiedy sięgnie daleko i poza rogatki danego grodu. Bywają też między takimi osobnikami istoty, przez naturę i życie upośledzone, które losy przeznaczyły w ich okropnej doli na pośmiewisko, lub w najlepszym razie na zabawę drugich ludzi — normalnych. Prawda, że im więcej cywilizacya wnika w najniższe nawet warstwy ludności, tem więcej z oczu publicznych znikają owe figury brukowe. Bywa i tak, bo być tak musi, że od czasu do czasu znika z naszych oczu typ brukowy, do którego przyzwyczailiśmy się tak, jak do codziennych upodobań, a że nas te typy nieraz i ubawiły i zajęły i uweseliły, choćby na chwilę, więc nieraz wspomni się o nich przy danej sposobności. Jest to dla takich nieszczęśliwców jedyne wspomnienie, bo najczęściej żaden krzyżyk nie znaczy grobu tych ludzi, którzy przeszli przez życie ciężkie... bawiąc sobą drugich.

Kilkanaście takich figur typowych przesunęło się na bruku lwowskim przed naszymi oczyma w przeciągu ostatnich lat czterdziestu. Ponieważ ostatni tego rodzaju „Mohikanin“, popularnie „Durnym Jasiem“ zwany, skończył swe dni w zakładzie miejskim dla nieuleczalnych, nie będzie od rzeczy, gdy zapoznamy kolejno młode pokolenie Lwowian z tymi, którzy już zniknęli z widowni życia i bruku.

1. Łucyk.

Pierwsze miejsce w tej galeryi typów oryginalnych należy się bez zaprzeczenia temu, który do pewnego stopnia diogenesowską manierą bawił Lwów w latach sześćdziesiątych i siedmdziesiątych. Był to Jan Łucyk. Nizki, krępy, z gęstą brodą, o fizyognomii, z jaką spotykamy się na ikonach bizantyńskiej szkoły, z chodem rozkołysanym, był postacią już samo przez się charakterystyczną. Przeszłości jego nikt dobrze nie znał; wiadomo, że był synem ruskiego księdza gdzieś na Podolu. We Lwowie zjawił się na widowni jako uczeń szkoły medyczno-chirurgicznej, zastępującej ongi w części wydział lekarski przy uniwersytecie lwowskim i wydającej ukończonym frekwentantom dyplomy magistrów lub patronów chirurgii.

Łucyk szkoły tej nie ukończył, ale nie mogąc być lekarzem, został mimo to — szarlatanem. Oczywiście odpowiednio do zawodu szarlatańskiego trzeba mu było zmienić powierzchowność. Zmienił ją też. Do ubrania poprzyczepiał sobie jakieś mistyczne gwiazdy i koła mosiężne posrebrzane; na sobie przewiesił zarękawek futrzany, a w nim nosił, Bóg wie skąd wziętego węża grzechotnika. Dla uzupełnienia tego stroju, ze szyi zwieszał się Łucykowi naszyjnik, złożony z pryzmatycznych szkielek od kościelnego pająka.

Niekiedy dla większej oryginalności niósł w rękę zaświeconą w biały dzień latarnię, a zapytany czemu to czyni, odpowiadał po diogenesowsku: „szukam człowieka“.

Takiem oryginalnem *exterieur* nie tylko na przedmieściu, gdzie mieszkał, ale i w mieście zaciekawiał ludzi. W najbliższym też otoczeniu począł uchodzić za bardzo zdolnego lekarza, a później między ludem prostym miano go nawet za „powagę lekarską“, bo nie przepisywał pacjentom diety, pigułki zaś uniwersalne, własnego wyrobu, któremi leczył wszystkie choroby, nakazywał stale — popijać kieliszkiem wódki.

Ten system leczenia miał nawet bardzo wielu zwolenników, a Łucykowi, acz niebardzo wielkie, ale do utrzymania dość wystarczające przynosił dochody.

Bywały jednak chwile i czasy, gdy szarlatan zbyttno się przejmował swą rolą i popadał w konflikty z policją

Przy jednym z takich konfliktów uznano go niepoczytalnym umysłowo i odesłano na oddział dla obłąkanych do Pijarów. Tam przybywszy, począł — jak sam opowiadał — aby doprawdy nie zwaryować — udawać waryata. W sali, gdzie go umieszczono, sporządził ołtarzyk i począł odprawiać przy nim nabożeństwo dla waryatów...

Psychiatrzy niebawem poznali się, że Łucyk nie jest waryatem, a przynajmniej nie niebezpiecznym.

Wypuszczono go tedy na wolność, ale leczenia surowo zabroniono, zwłaszcza za pieniądze. Mimo to leczył dalej ciemny lud przedmiejski uniwersalnemi pigułkami. Bywało, że i ktoś z inteligencyi, któremu lekarze dyplomowani nie pomódz już nie mogli, udawał się do Łucyka o poradę. Pomogła kuracya, czy nie pomogła, mniejsza o to, dość, że chory umarł w tem przeświadczeniu, iż jeżeli mu Łucyk nie pomógł, to widocznie śmierć była mu pisana...

Z biegiem lat Łucyk utemperował się, a nawet się ożenił. Do ożenku pomogła mu jego umiejętność „lekarzka“. Pewnego razu wezwano go do ciężko chorej wdowy, mającej córkę ułomną. Stanąwszy u łóża chorej, Łucyk pokręcił głową, zbadał chorą i oświadczył, że nie ma wielkiej nadziei (to samo mówili i inni lekarze), ale zajmie się leczeniem chorej pod warunkiem, że mu stara da córkę za żonę. Propozycja została przyjętą, tem bardziej, że wymaganie nie było tak wielkie, zwłaszcza, iż mocno w latach zaawansowana panna i do tego ułomna, nie spodziewała się nigdy wyjść za mąż. Jakoż Łucyk zajął się chorą i uleczył ją, poczem w myśl umowy, ożenił się z panną.

Na ślub, który odbył się w parafii św. Mikołaja, wyłęgły tłumy ciekawych, bo było to przecie sensacją dnia. Charakterystyczny był moment, gdy Łucyk składał przysięgę. Na zapytanie kapłana, czy ma dobrą a nieprzymuszoną wolę tę, którą przed sobą widzi, pojąć za małżonkę, odparł pan młody podniesionym głosem: „Gdybym nie miał, tobym nie brał!“ W świątyni, mimo świętości miejsca, wybuchnął na te słowa śmiech homeryczny....

Łucyk się ożenił — i odmienił się — o tyle, że porzucił dawną oryginalność szarlatana, a wziął się do gospodarki. W tym czasie odziedziczył mały folwarczek i na jakiś

czas zniknął ze Lwowa. Po latach zjawił się znowu, osiadł gdzieś na dalekiem przedmieściu i leczył znowu uniwersalnemi pigułkami. Jeszcze przed kilkunastu laty widziano go jako wiekiem przygniecionego już, ale zawsze o żywych ruchach starca, z pogodnie uśmiechniętem obliczem i łubianą ko-białką, przez plecy przewieszoną, jak spieszył ku miastu po zakup tego, co mu było potrzebne.

2. Baronek.

Lat temu parę dziesiątek nie koncentrowało się życie Lwowa tak, jak dziś, na placu Maryackim; Rynek jeszcze trzymał prym wtedy przed placami miejskimi, dzisiejszy zaś plac Maryacki, jako ówczesny „plac Ferdynanda“, nie był też tem, czem jest obecnie. Nie raziło to wówczas nikogo, że w miejscu, gdzie dziś kamienica, w której sklep Seyfartha i Dydyńskiego, był zwyczajny „drewniany“ parkan, okalający pracownię kamieniarską, a lewy róg ulicy Akademickiej „ozdabiał“ nad brzegiem niezakrytej Pełtwi stojący wśród śmiecia i kału obdarty i stary „Hotel pod tygrysem“ w miłym a niedalekiem sąsiedztwie aresztów w ulicy Krzywej. Na prawym rogu ulicy Akademickiej i placu Ferdynanda stał, jak i dziś stoi, lecz innej niż dziś struktury „Hotel George“, zwany także, jak to ówczesna tablica wskazywała, „Hotel de Russie“. Za najbliższego sąsiada miał pierwszorzędny ten hotel w Brunickich kamienicy, frontem do placu, kasyno fiakerskie, *alias* szynk „pod góralem“.

Na narożniku tedy chodnika od ulicy Krętej widzieć było można codziennie od wczesnego ranka do wieczora stojącą nieruchomo postać, wielce charakterystyczną, nazywaną popularnie przez lwowski ludek „baronkiem“.

Jak się ów baronek nazywał, mniejsza o to. *Nomina sunt odiosa*; żyje zresztą wiele jeszcze szanownych tej rodziny członków lub imienników, dla którychby wymienianie nazwiska dziwaka nie było pożądanem, ani przyjemnem.

Oto jak ów „baronek“ wyglądał: Wzrostu mniej niż średniego, kadłub miał okrągły jak kula, na nogach cienkich osadzony. Głowa duża, łysawa, twarz jakby nalana,

obciągnięta skórą barwy starego pergaminu; oczy rybie z wyrazem bezmyślności, najczęściej przymknięte, lub zmrużone. Postać ta, ubrana w wypłowiały, niegdyś granatowy płaszcz bandycki, do kolan sięgający, w kapeluszu okrągłym, stać potrafiła nieruchomo całymi godzinami, dotrzymując w ten sposób towarzyswa oswojonemu bocianowi marabutowi, który zajmował miejsce stale po drugiej stronie hotelu, na krawędzi chodnika od ulicy Akademickiej. Jakby dla symetrii, poczciwy marabut także z zamkniętymi oczyma, a na jednej nodze, stać umiał godzinami, i tak te dwie figury niby stróżowały koło hotelu Żorża.

Kto był baronek? Za młodych lat miał majątek ziemski, podobno dość znaczny. Przehulał go prawdziwie po kawalersku, to jest: co do grosza. Baronem niegdyś z wdzięczności za sypane na lewo i prawo pieniądze nazwali go kelnerzy, portyerzy hotelowi za granicą i w kraju; tytuł barona dały mu i kokoty i towarzysze od zielonego stolika, w których gronie czas drogi, pieniądze i zdrowie a więcej jeszcze — wstyd tracił. Przy takim życiu i rozum wkońcu zaszwankować musiał, a wkońcu niedopisała samowiedza. Zasoby się wyczerpały, zniknął tytuł barona, a pozostało jako wspomnienie lepszych a marnie straconych dni — nieco stosunków z dawnych lat. Pracy baronek się nie jął, bo go jej nie nauczono.



Ryc. 16. Baronek.

Wstyd dawno przeszedł wraz z pieniędzmi, ale można było, choć z daleka, dawne zużytkować znajomości. Hotel Żorża był od lat głównym stanowiskiem bogatej szlachty i obywatelstwa; do dobrego tonu należało „zajechać do Żorża“. Przejedni panowie mają zwykle przeróżne interesy, czasem natury delikatnej, do których albo nie można było, albo nie wypadało używać faktora, albo „lohn-dienera“ hotelowego. Sprytnie to pojmował „baronek“, że może być przecie na coś użyteczny i nie umrzeć z głodu.

A no! znano go w hotelu z lepszych czasów... nie broniono mu kąta i posady nadetatowej.

Legitymacyi baronek nie potrzebował; znano go. Ten i ów „szlagon“ lub „pan“ wetknął parę szóstek lub guldena; — kochany baronku... idź tam lub tam — albo: „zrób mi to, a to...“ — Baronek, milczący jak grób, szedł i zrobił... a dyskretnym być umiał. W interesach sumienny i pilny, w wolnych chwilach, to znaczy, gdy nie miał „roboty“ a czuł grosze przy sobie, znikał „pod góralem“, gdzie pił tak długo w „singeltona“, póki nie przepił tego, co zarobił, albo nie usnął. Jeżeli zarobek dzienny był większy, baronek wspominał sobie dawne czasy i puszczał się po kawiarenkach, gdzie milczący jak zwykle, stawał w kącie i „kibicował“ przy kartach lub bilardzie. Dawano mu cygara, albo i niedopałki — brał — i pił też, co mu dano. Po całej tak spędzonej nocy, spał stojąc przed hotelem na ulubionym rogu.

„Pod góralem“ atoli było mu wygodniej i bardziej swojsko. Dawny baron, choć jedynie „tytularny“, wywierał zawsze pewien urok na towarzystwo, złożone z posługaczy i fiaków.

Byli tam i tacy jeszcze, którzy mu niegdyś służywali... ..Pamiętano tam na to i do pewnego stopnia go honorowano. Oczywiście, trwało to tak długo, póki, zwłaszcza w dniach zimnych, wódka lub „halby“ piwa nie rozgrzały zbytńo głów automedonów z placu Ferdynanda. Baronek pił z nimi, choć oni fundowali; o to się nie obrażał. Kiedy jednak który pozwolił sobie na grubszy żart *a propos* dawnego wystawnego i hulaszczego życia baronka, w rybach i przygasłych żrenicach upadłego barona błyskała dawna duma. Wstawał od stołu i nie powiedziawszy słowa, lub ledwie mruknąwszy gniewliwie, wyносił się z szynkowni i zajmował zwyczajne swe miejsce na rogu, skąd z miną obrażonego hidalga rzucał ukośne spojrzenia „pod górala“.

Pewnego dnia zniknął z rogu ulicy Krętej. Poszedł chory do szpitala, skąd już nie wyszedł. Tam umarł, a pochowano go podobno jako „golca“, bo nikt ze znajomych nie zgłosił się celem uczciwego pogrzebania. Biedny baronek!

3. Słoń.

Odmienną od tamtych, figurą oryginalną był „Słoń“, którego starsze pokolenie Lwowian pamięta żywym; młodsze zna go tylko ze sylwetek, które temu „Słoniowi“ poświęcili w swoim czasie Gawalewicz i Wilczyński.

Opisali oni „Słonia“ tak wyczerpująco i wszechstronnie, że musiałbym chyba to powtarzać, co ci dwaj pisarze podali. Dodam jedynie, że ów nieszczęsny „Słoń“ winien być po wszystkie czasy przykładem odstrasającym dla matek, wychowujących pieszczonych gagatków i kierujących się względem dziatwy tak zwaną „małpią miłością“.

* * *

Przejdę teraz do osobników intelligentnych, którym koleje losu pomieszały rozum w głowie. Nie będę się zagłębiał w zagadnienia psychologiczne, dlaczego ci ludzie się rozpiłi (a zbroczenie ich umysłowe stanowiączo na tle alkoholizmem występowało), bo opilstwo to było u nich nie przyczyną, lecz skutkiem, że się tak wyrażę... Przyczyny właściwe leżały głębiej.

4. Doktor.

Pierwszym z tych oryginałów był „doktor“. Ze sfer lepszych Lwowa mało go kto znał i niewielu też może pamięta tę figurę, dość charakterystyczną. Stałą siedzibą „doktora“ był plac Gołuchowskich, a jeszcze ściślej biorąc, narożnik ulicy Furmańskiej. Od całej zgrai podpasanych sznurami tragarzy i posługaczy wyróżniał się „doktor“ chyba tem, że nie obwiązywał nóg szmatami, lecz jakie takie nosił obuwie, a podartą garderobę swą ozdabiał tombakowym łańcuszkiem, oczywiście bez zegarka. Spokojny, milczący, gdy podpił sobie, potrafił całemi godzinami do siebie gadać po niemiecku, z przymieszką żargonu żydowskiego, a wtedy stawał się pośmiewiskiem żydziaków, setkami — zwłaszcza latem — zalegających plac Gołuchowskich.

Niegdyś, za dobrych, młodych czasów, był „doktor“ naprawdę wojskowym lekarzem. Przeżył dwie nawet podobno kampanie wojenne szczęśliwie — uległ w trzeciej — z własną żoną. Ze złą kobietą nie wytrzymał wojny; zdradziła go i zwichnęła mu życie. Za słaby, aby się od razu pozbyć niewiernej żony, cierpiał czas jakiś, potem począł pić z rozpacz i tem samem uchybiać swoim obowiązkom i powołaniu. Trwało to lat parę; żona wkońcu uciekła i to dopełniło miary u nieszczęsnego. Napędzono go z wojska, jako cywilny praktyki nie znalazł, zresztą co zarobił, to przepił. Tak staczał się coraz niżej i niżej, aż zeszedł już na to, że pisał recepty i leczył po szóście, a nawet taniej, żądny pomocy proletaryat. Wreszcie i to ustało i musiał żyć z jałmużny. Pijąc bez opamiętania, dostawał czemraz częściej pijackiego delirium, aż nagła śmierć z udaru mózgowego przecięła pasmo żywota „doktora“ na rogu, gdzie mieścił się jego ulubiony szynk.

5. Profesor.

Analogiczną do pewnego stopnia figurą brukową był „profesor“ lub „filozof“, bo i tak go zwano niekiedy. Znało go wielu, starsi nawet jeszcze jako suplenta gimnazjalnego. Widywano go nieraz po Wałach lub na Zamku, jak z książką w rękę deklamował poetów, lub głośno odczytywał autorów łacińskich. Przebywał najczęściej w towarzystwie młodzieży, którą lubił i której chętnie za skromny poczęstunek wyrabiał, lub wyrabiać pomagał trudniejsze pensa. Bywało, w chwilach owych przejmował się dawną rolą profesora i karcił surowo zarzutem nieuctwa lub nierozumienia go w wykładzie, nie bacząc na to, że strofuje tego, co mu obiadek lub kolacyę zapłacił.

Biedny to bardzo i szczupły był ten zarobek „profesora“, — a w nieporządnem życiu swem nie baczył na to, że z latami i z postępem „jaja bywają mędrsze od kury“ i przyszło na to, że gimnazjaliści nie mieli z czem przychodzić do niego, bo im nic już pomódz nie mógł. „Profesor“ tedy przeniósł się na mniej wymagające przedmieście i tam dzieci rzeźników i krupiarzy wtajemniczał w tajniki

wielkiego i małego abecadła. Przez jakiś czas sława jego brzmiała pod rogatkami, bo prócz nauczania, pisywał wiersze na familijne uroczystości przedmieszczan. Jakoż pod tym względem nie brakło mu roboty. Młody adept szlachetnego kunsztu „musata“ i noża, gdy chciał od razu ugodzić strzałą amora w serce rumianej jak piwonia dziewczoi, jak w dym biegł do „profesora“, brał go do szynku i tam po dwu lub trzech kieliszkach, spływał na papier z ołówka filzofa taki na przykład czterowiersz:

„Skryte ach! są myśli moje,
Ale trafią w serce twoje.
Nie bądź srogą ma Kasieńko,
I obdarz mnie swoją ręką“.

I któraż Kasia lub Poldzia (rym oczywiście był odpowiedni) mogła się oprzeć takim zaklęciom?... Na zaręczyny miał profesor gotowy toast honorowy:

„Piję zdrowie tej dziewczyny,
Której dziś są zaręczyny“.

Aplauz podochoconych gości był nagrodą dla „poety“ a zarazem zachętą do toastu weselnego, w tym mniej więcej guście znowu:

„Takie zdrowie pić się godzi!
Niechaj żyją państwo młodzi“...

Profesor lubił pić, lubił się bawić, bo bez niego, nawiasem mówiąc, nie odbyła się na przedmieściu zabawa, jak nie rozumiano na rycerskich dworach uczyły bez minstrelów; nie lubił jednak, gdy go ktoś zagadał, — bo i to bywało, — czy miał żonę. Wspomnienie takie psuło mu zabawę, jakby ręką odjął. Więcej nawet, bo wiele dni upływało, nim przyszedł do równowagi. Profesor, jak łatwo zgadnąć, padł także niegdyś ofiarą niewiary kobiecej. —

„*Es ist eine alte Geschichte, doch bleibt sie immer neu; und wem sie just passiert, dem bricht das Herz entzwei*“ — powiada poeta. I z profesorem była ta sama stara historia. Złamała mu serce kobieta, uciekła z drugim, a jemu zosta-

wiła puste wystygłe gniazdko, gdy pewnego wieczora przyszedł z lekcji do domu. Ból, rozpacz, a potem reakcja i pocieszenie w kieliszku i szklance — i pośmiewisko pauprów, lub rubasznym ludzi prostych, którzy nie odczuwają bólu serdecznego, a lubią się bawić nieszczęściem drugich... oto rezultat. Umarł w szpitalu, a pochowała go „Arymatea“.

6. Dziwak-emeryt.

Zwano go „Diodio“ na górnym Łyczakowie, gdzie mieszkał w domu pod l. 145. Odnajmywał tam pokoik, który wiecznie szczelnie był zamknięty, ba, nawet okna w nim papierem były zalepione, aby przez nie nikt nie mógł zajrzeć do wnętrza. U siebie naturalnie nie przyjmował nigdy nikogo, a nawet jedzenie sam sobie u ogniska gospodyni grzał w jednym i tym samym garnuszku; nikt jednak nie mógł dojrzeć, co za potrawa się w tym garnuszku gotowała, bo go szczelnie przykrywał. Komorne płacił regularnie co pierwszego, ale czynił to bez najmniejszego słowa; rzucał gospodyni pieniądze na stół i szybko umykał.

Latem czy zimą chodził w jednej i tej samej szarej kapocie, z kołnierzem zawsze podniesionym i kapeluszem zsuniętym na oczy. Za przechodzącymi kobietami spluwał; widocznie one z niego kiedyś zrobiły mizantropa. Miał pasyę, idąc w miasto, zdzierania plakatów, które ukradkiem chował pod surdut i do palta i zanosił do domu.

„Diodio“ zmarł jakoś w samą Wielkanoc, a gdy po jego śmierci przemocą otworzono pokój, pokazało się, że izba po sam sufit natłoczona była starymi plakatami, a w tym strasznym nieporządku leżał trup „diodia“. Podczas sprzątania tych śmieci znaleziono wśród nich kilkadziesiąt tysięcy guldenów, które drogą spadku dostały się kuzynowi „Diodia“, właścicielowi piekarni, do dziś istniejącej.

7. Ałte sziker.

Postać charakterystyczna na Zarwanicy lwowskiej. Wysoki, chudy jak tyka, o typie czysto semickim, w chacie po pięty i szapoklaku, barwy zielonej od deszczu

i słońca. Zwano go alte sziker, co znaczy na polskie: stary pijak. Jakoż był i jednym i drugim, a z profesyi szewcem, łąającym buty nędzaczom takim, jakim sam był, ale tylko wtedy, gdy już nie miał co do gęby włożyć. Za to, gdy zarobił parę centów, a podpiał sobie, brał się pod boki i wykonywał ucieszne skoki po ulicy, albo przed odwachem; stawał on tam frontem do krat i donośnym głosem wołał: „habt Acht!“. Tak się do tego z biegiem lat przyzwyczajono, że nawet policyanci, obojętni na figle „Alte szikera“, nie reagowali. Gdy mu dobrze dopiekli wyrostki żydowskie, drażnił ich tem, że on jest katolik, przyrzem bluznił rabinom i wogóle żydowskiej wierze.

Był niegdyś podobno i żonatym i właścicielem ładnej kamieniczki. Alkohol pozbawił go i żony i majątku, która ten ostatni jako swoją własność zatrzymała po napędzeniu męża pijaka. Zmarł gdzieś w szynku, jak wielu jego kompanów.

„Alte-sziker“, gdy wśród nocy swego pijaństwa jaśniejsze miewał chwile, posiadał pełną świadomość swego nieszczęścia, któremu za słaby był, aby zapobiedz. Bywało, siadzie sobie nieraz na kamieniu pod Wałami gubernatorskimi, podeprze dłońmi chudą twarz, łyska czaszką do słońca i zamysli się, a okiem nieruchomo patrzy w dal. Nieraz w takiej zadumie zeszedł go jaki chłopak swawolny i nad uchem mu krzyknął: Alte sziker! Wtedy oblicze starego pijaka dziwny przybierało wyraz. Popatrzał na dziecko i na poły żartobliwym, a na poły rozpaczliwym głosem mawiał:

— Nu, za co lubciu alte, za co sziker, ja gorszy od pies, ja nie ma co jeść, ja nie ma gdzie spać...

Rychło wstawał potem, przybierał pozę wyzywającą, podpierał się pod boki i krocząc ku Zarwanicy wykrzykiwał: „Szlag na żydy, ja katolik!“, poczem znikał w ciemnych czeluściach ostatniorzędnej knajpy pijackiej przy ul. Błacharskiej, zwanej „pod Zweiundvierzig“ w gwarze ludowej.

8. Jaśko hułan.

Był postrachem przedmieścia: czyto trzeźwy, co mu się dość rzadko zdarzało, czy pijany, co bywało niemal stale, nie lubiał, by mu w drogę wchodzono. Nazywał się

— Bóg wie jak — dość, że od młodości zwano go popularnie: Jaśko hułan. Podobno o ułańskim jego pochodzeniu wiedziała matka i ludzie — ojca nie znał nigdy, ani go pamiętał. Majstrem był do wszystkiego, ale trzeba go było długo prosić, zanim zdecydował się komu czem usłużyć. Głównem jego zajęciem było robienie szopek przed świętami Bożego Narodzenia, a chodzenie z „wertepą“ od świąt do „Gromniczej“. W tym okresie Jaśko hułan zmieniał się do niepoznania. Gromadził w około siebie chłopaków, od 6-letnich berbeciów aż do kilkunastoletnich wyrostków i zakładał u siebie istną fabrykę. Pod wprawnym okiem mistrza rosły w górę kilkuwieżowe gmachy z kolorowego papieru, tak do stajenki betleemskiej podobne, jak lwowski ratusz do arcydzieła architektury. Zdaje się, że na ratuszu tym wzorował Jaśko hułan gmachy swoje, bo „typem“ niejako jego szopek była czworokątna kominowa wieża z blankami u góry...

Typ ten „szopki“ odziedziczyli snąc po Jaśku i młodzi jego adepci papierowego budownictwa, bo tego rodzaju dziwolągi szopkowe do dziś dnia sprzedają na Rynku w okresie przedświątecznym.

Najwięcej uwagi i staranności poświęcił mistrz „wertepie“. Tem mianem ochrzczono na przedmieściu olbrzymią szopę ze sceną i kurtyną, na wzór sceny teatralnej, z mechaniczną podłogą, o mnóstwie korb i kólek, zapomocą których figurki można było poruszać, jak chciał „wertepiarz“. Figurki, zwyczajne lalki drewniane, kupowane pod katedrą, stroił Jaśko, jak mu było potrzeba do kompletnej sztuki jasełek własnego pomysłu; a dodać należy, że „grał“ za wszystkie figurki sam, bez „egzemplarza“ i suflera. Jedynie gdy musiał występować chór pasterzy, „robili“ go szopkarscy pomocnicy Jaśka, dostając za wieczór po dwa centy, niejako *feu* od przedstawienia.

Rozumie się, że w czasach, gdy o teatrze na przedmieściu ledwie coś niecoś słyszano, wertepa Jaśka hułana zastępowała w zupełności scenę, którą poczciwi przedmieszczanie znali chyba z nazwiska, gdzieby bowiem na myśl komu było przyszło iść do „tryjatronu“; i kiedy wreszcie, gdy cały boży tydzień była praca, a w niedzielę popołudniu nieszpory u św. Antoniego, a wieczorem zabawa w Hotelu de

Laus, u Kijaka, albo u „Łysego Maćka“. Artystycznym tedy wymogom przedmieścia wystarczali zupełnie „kołędnicy“. Poza tem świąteczne dni Bożego Narodzenia po domach gospodarzy przedmieścia, a niedziele aż do „Gromnicznej“ po szynkach rozweselała wertepa Jaśka; po „Gromnicznej“ wertepa szła na strych domu, gdzie Jaśko mieszkał, a on sam wracał do dawnego trybu: włóczył się poza rogatkami, trochę się bawił w kłusownictwo po lesie, a zresztą żył jak bądz.

Ale go się bano, i tej zapewne okoliczności zawdzięczał, że choć wszelkie chodzenia z „banią“, „gwiazdą“ i po kołędzie z kompanią najczęściej krwawą kończyły się bójką, gdy się dwie partye razem zeszyły, wertepa Jaśka hułana długie lata cieszyła się nietykalnością. Łobuzy miejskie z pewnym pietyzmem odnosiły się do wertepy — może nie tyle do Jaśka, bo ostatecznie *viribus unitis* byliby go kiedy pokonali.

Lecz nic niema na świecie trwałego.

Trzeba było, że sławy Jaśkowi pozazdrościł podobny jemu wykołojeniec z innego przedmieścia, niejaki „łysy Wojtek“. Ten zdobył się na wertepę, nie tyle sztuczną, co Jaśkowa, ale jeszcze większą i do niej jeszcze dapożyczył od żyda katarynkę, i jako konkurent niebezpieczny wkroczył na terytoryum dotąd niepodzielne Jaśka. Jeden dzień świąteczny minął spokojnie, ale na drugi Jaśka stąd i z owąd doszły słuchy, że Wojtek jako „nowość“ podobał się. To zdecydowało o jego losie...

W owe czasy t. z. „Baworówka“ pod cmentarzem Łyczakowskim była jednym olbrzymiem pustkowiec; biegnąca wzdłuż niej ulica św. Piotra ulicą prawie wiejską, żywoplotami oddzieloną od ogrodów i pól, ciągnących się aż ku Łyczakowskim piaskom i „dyabelskiemu młynowi“ i Cetnerówce, od której bokiem ku „Rurom“, względnie Pohulance, odskakiwała Mazurówka. Na tem olbrzymiem tedy pustkowiec, gdzie nie liczne stały domki, zamieszkałe przez podejrzanę zresztą bardzo reputacyi indywidua, można było bezpiecznie toczyć krwawe boje, bez narażenia się na przeszkody ze strony władz bezpieczeństwa. I istotnie niktby nie policzył, ile heroiczných walk stoczono w tych miejscach, ile zasadzek i wypadków znienacka dokonano na wążutkiej, przepaścistej ścieżce, którą wożono „goleców“ ze szpitala na cmentarz,

a która dziś jest szeroka, uregulowaną ulicą, ochrzczoneą nazwą ulicy Pijarów.

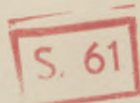
Na tej tedy drożynie, wieczorem w dzień św. Szczepana, zasiadł Jaśko hułan ze swymi stronnikami i adeptami sztuki. Od Mazurówki wracał Wojtek ze swą kompanią. Na rogu „Baworówki“ starły się obie partye. Krew się polała, ale to furda. Wertepa ze sztucznym mechanizmem, która Jaśka lat parę pracy kosztowała, zniszczoną została do szczętu przez „wandalów“ Wojtka.

Nazajutrz w „dyabelskim młynie“ na łyżakowskich piaskach znaleziono na bancie powieszonoego Jaśka na pasku od spodni...

Na tem kończę wiązanke szkiców z lwowskich przedmieść, w myśl założenia, że nie było moim zamiarem pisać szczegółowo dziejów przedmieść lwowskich. Monografię dzielnicy żydowskiej nakreślił po mistrzowsku zresztą na tem miejscu dr. Majer Balaban. Przedmieście Halickie nie doczeka się prawdopodobnie historyografa, będąc na zupełnie innych postawione warunkach względem miasta, jak przedmieście żydowskie.

Z zaginionych oryginałów nie brałem do tej galeryi osobników umysłowo upośledzonych, których dawne miasto dość, i to nawet dowcipnych niekiedy posiadało. Dałem tylko parę sylwetek istot, wykolejonych wprawdzie, pokłóconych ze społeczeństwem, wśród którego żyli — ale chodziło mi o zaznaczenie tragicznego pierwiastka duchowego, który to wykolejenie u nich spowodował. Każdy z nich mógł jednocześnie jednego rozśmieszyć, drugiego zasmucić i łzę współczucia u niego wywołać na powieki. Biedni ludzie!

Nowoczesna cywilizacya i jej urządzenia oczyszczają bruki wielkich miast z rozmaitych oryginałów, czy też wykolejenców. Przedstawiona przezemnie „galerya oryginałów“ zaginęła bez następców — na szczęście. Bogdaj, czy nie jedynym po niej śladem są owe sylwetki.



SPIS RZECZY.

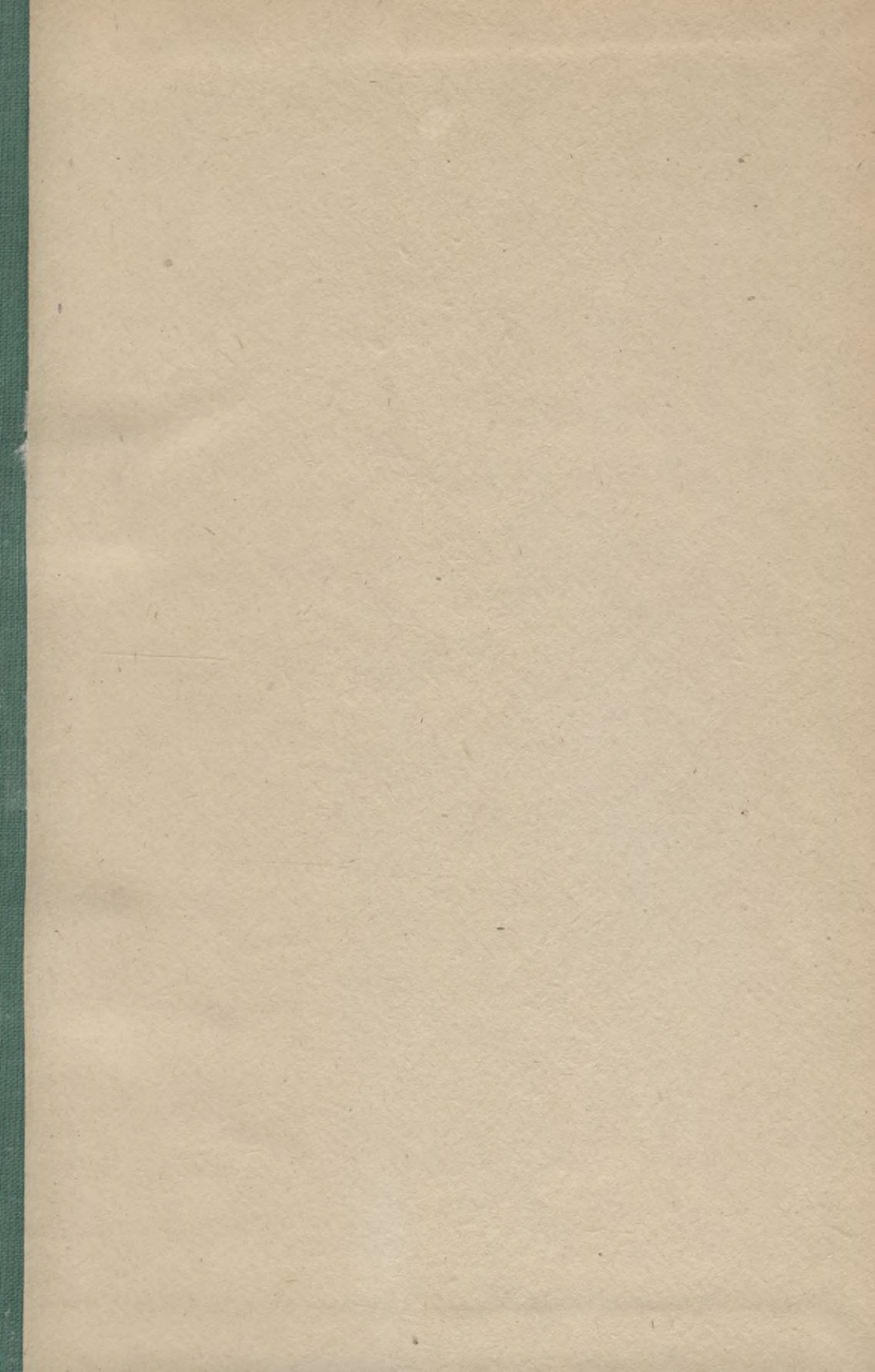
	Str.
I. Przedmieścia lwowskie w ogólności	7
II. Łyczaków wogóle	11
III. Górny Łyczaków przed pół wiekiem	17
IV. Bajki	40
V. Żółkiewskie	44
VI. Ogródki dawnego Lwowa	52
VII. Galerya zaginionych lwowskich oryginałów	57

1057 II

SPIS TREŚCI

1	Wstęp
2	1. Rozdział I. Prawo w ogólnym
3	2. Rozdział II. Prawo w szczególności
4	3. Rozdział III. Prawo w szczególności
5	4. Rozdział IV. Prawo w szczególności
6	5. Rozdział V. Prawo w szczególności
7	6. Rozdział VI. Prawo w szczególności
8	7. Rozdział VII. Prawo w szczególności
9	8. Rozdział VIII. Prawo w szczególności
10	9. Rozdział IX. Prawo w szczególności
11	10. Rozdział X. Prawo w szczególności
12	11. Rozdział XI. Prawo w szczególności
13	12. Rozdział XII. Prawo w szczególności
14	13. Rozdział XIII. Prawo w szczególności
15	14. Rozdział XIV. Prawo w szczególności
16	15. Rozdział XV. Prawo w szczególności
17	16. Rozdział XVI. Prawo w szczególności
18	17. Rozdział XVII. Prawo w szczególności
19	18. Rozdział XVIII. Prawo w szczególności
20	19. Rozdział XIX. Prawo w szczególności
21	20. Rozdział XX. Prawo w szczególności
22	21. Rozdział XXI. Prawo w szczególności
23	22. Rozdział XXII. Prawo w szczególności
24	23. Rozdział XXIII. Prawo w szczególności
25	24. Rozdział XXIV. Prawo w szczególności
26	25. Rozdział XXV. Prawo w szczególności
27	26. Rozdział XXVI. Prawo w szczególności
28	27. Rozdział XXVII. Prawo w szczególności
29	28. Rozdział XXVIII. Prawo w szczególności
30	29. Rozdział XXIX. Prawo w szczególności
31	30. Rozdział XXX. Prawo w szczególności
32	31. Rozdział XXXI. Prawo w szczególności
33	32. Rozdział XXXII. Prawo w szczególności
34	33. Rozdział XXXIII. Prawo w szczególności
35	34. Rozdział XXXIV. Prawo w szczególności
36	35. Rozdział XXXV. Prawo w szczególności
37	36. Rozdział XXXVI. Prawo w szczególności
38	37. Rozdział XXXVII. Prawo w szczególności
39	38. Rozdział XXXVIII. Prawo w szczególności
40	39. Rozdział XXXIX. Prawo w szczególności
41	40. Rozdział XL. Prawo w szczególności
42	41. Rozdział XLI. Prawo w szczególności
43	42. Rozdział XLII. Prawo w szczególności
44	43. Rozdział XLIII. Prawo w szczególności
45	44. Rozdział XLIV. Prawo w szczególności
46	45. Rozdział XLV. Prawo w szczególności
47	46. Rozdział XLVI. Prawo w szczególności
48	47. Rozdział XLVII. Prawo w szczególności
49	48. Rozdział XLVIII. Prawo w szczególności
50	49. Rozdział XLIX. Prawo w szczególności
51	50. Rozdział L. Prawo w szczególności
52	51. Rozdział LI. Prawo w szczególności
53	52. Rozdział LII. Prawo w szczególności
54	53. Rozdział LIII. Prawo w szczególności
55	54. Rozdział LIV. Prawo w szczególności
56	55. Rozdział LV. Prawo w szczególności
57	56. Rozdział LVI. Prawo w szczególności
58	57. Rozdział LVII. Prawo w szczególności
59	58. Rozdział LVIII. Prawo w szczególności
60	59. Rozdział LIX. Prawo w szczególności
61	60. Rozdział LX. Prawo w szczególności
62	61. Rozdział LXI. Prawo w szczególności
63	62. Rozdział LXII. Prawo w szczególności
64	63. Rozdział LXIII. Prawo w szczególności
65	64. Rozdział LXIV. Prawo w szczególności
66	65. Rozdział LXV. Prawo w szczególności
67	66. Rozdział LXVI. Prawo w szczególności
68	67. Rozdział LXVII. Prawo w szczególności
69	68. Rozdział LXVIII. Prawo w szczególności
70	69. Rozdział LXIX. Prawo w szczególności
71	70. Rozdział LXX. Prawo w szczególności
72	71. Rozdział LXXI. Prawo w szczególności
73	72. Rozdział LXXII. Prawo w szczególności
74	73. Rozdział LXXIII. Prawo w szczególności
75	74. Rozdział LXXIV. Prawo w szczególności
76	75. Rozdział LXXV. Prawo w szczególności
77	76. Rozdział LXXVI. Prawo w szczególności
78	77. Rozdział LXXVII. Prawo w szczególności
79	78. Rozdział LXXVIII. Prawo w szczególności
80	79. Rozdział LXXIX. Prawo w szczególności
81	80. Rozdział LXXX. Prawo w szczególności
82	81. Rozdział LXXXI. Prawo w szczególności
83	82. Rozdział LXXXII. Prawo w szczególności
84	83. Rozdział LXXXIII. Prawo w szczególności
85	84. Rozdział LXXXIV. Prawo w szczególności
86	85. Rozdział LXXXV. Prawo w szczególności
87	86. Rozdział LXXXVI. Prawo w szczególności
88	87. Rozdział LXXXVII. Prawo w szczególności
89	88. Rozdział LXXXVIII. Prawo w szczególności
90	89. Rozdział LXXXIX. Prawo w szczególności
91	90. Rozdział LXXXX. Prawo w szczególności
92	91. Rozdział LXXXXI. Prawo w szczególności
93	92. Rozdział LXXXXII. Prawo w szczególności
94	93. Rozdział LXXXXIII. Prawo w szczególności
95	94. Rozdział LXXXXIV. Prawo w szczególności
96	95. Rozdział LXXXXV. Prawo w szczególności
97	96. Rozdział LXXXXVI. Prawo w szczególności
98	97. Rozdział LXXXXVII. Prawo w szczególności
99	98. Rozdział LXXXXVIII. Prawo w szczególności
100	99. Rozdział LXXXXIX. Prawo w szczególności
101	100. Rozdział LXXXXX. Prawo w szczególności

3





BIBLIOTEKA GŁÓWNA

Biblioteka Politechniki Krakowskiej



II-347844

PK 349/83 - 100 000 egz.

Biblioteka Politechniki Krakowskiej



10000284907